James White

Zawód: wojownik 8

Iskry

SHOUT
SHARE
IT

- James White
- Rozdział 1
- Rozdział 2
- Rozdział 3
- Rozdział 4
- Rozdział 5
- Rozdział 6
- Rozdział 7
- Rozdział 8
- Rozdział 9

James White
Zawód: Wojownik

Przełożyła Blanka Kluczborska

Rozdział 1

Stojąc na swoim stanowisku, sześć kroków przed trójszeregiem żołnierzy, Dermod kątem oka obserwował zbliżający się wolno kryty pojazd terenowy. Prowadził go znudzony Ziemianin w zielonym mundurze Strażnika, wiozący dwa duże gąsienicowate stwory — ciepłokrwiste, oddychające tlenem, wielonożne i owłosione istoty, które zamieszkiwały planetę Kelgia. Ponieważ ich ciała nie wymagały dodatkowego okrycia, stopnie wojskowe można było odczytać wprost na gładkim, srebrzystoszarym futrze, odpowiednio ufarbowanym.

A więc to jest nasz wróg! — pomyślał Dermod.

Pojazd powoli, nieubłaganie sunął w jego kierunku. Dermodowi zaschło w ustach. Zaraz nadejdzie odpowiedni moment, a Dermod rozpaczliwie pragnął, aby jego występ wypadł przekonująco.

W zwartych szeregach mężczyzn za nim napięcie też rosło. Lada chwila nastąpi pozornie spontaniczny i nie kontrolowany wybuch nienawiści skierowanej przeciwko oficerom pełzaczy w łaziku. Zawsze następował taki wybuch, myślał Dermod z niesmakiem; miał on przekonać wroga o nieustraszonym, bojowym duchu walki mężczyzn, będących w rzeczywistości zwykłą bandą tchórzy, mięczaków i przechwalających się bufonów. Ale ci, którym uda się przekonać tamtych oficerów o swoim męstwie, nie zostaną wybrani do walki w nadchodzącej wojnie, gdyż wróg, mając możność wyboru, zawsze wskaże przeciwników najsłabszych, a nie najsilniejszych.

Samochód był już tak blisko, że Dermod widział smugi pyłu na przezroczystej plandece. Teraz, pomyślał, jednocześnie zaczynając szczękać zębami i dygotać na całym ciele. Przed laty był jednym z najlepszych aktorów w swoim kółku dramatycznym. Wiedział, że twarz ma bladą i zroszoną potem. Moment kulminacyjny rozegrał dokładnie w chwili, gdy auto się z nim zrównało, i osunął się bezwładnie na ziemię.

Jego zachowanie zdumiało zarówno nieprzyjacielskich oficerów, jak i stojących za nim mężczyzn, opóźniając demonstrację wrogości, która zaczęła się nieco chaotycznie. Ale kilka pierwszych pojedynczych okrzyków szybko przerodziło się w powszechny zgiełk i świat Dermoda widziany przez szparki oczu z poziomu ziemi — stał się wirem kurzu, tupiących nóg i czysto organicznych dźwięków.

Dermod jeszcze przez kilka sekund leżał pośród wrzeszczących i wymachujących pięściami mężczyzn, a potem podniósł się i zaczął wraz z nimi obrzucać nieprzyjaciela wyzwiskami. Chciał dać obraz oficera, który mdleje na sam widok wroga, jeszcze przed rozpoczęciem działań wojennych, ale pilnował się, żeby nie zagrać tej roli z przesadną emfazą.

Po półgodzinie wezwano go do budynku dowództwa obozu i skierowano do gabinetu zajętego przez oficera w zielonym mundurze, który siedział za dużym, zarzuconym papierami biurkiem. Strażnik wskazał mu krzesło.

— Majorze Dermod — powiedział rześko — został pan wybrany do walki w nadchodzącej wojnie. Co więcej, pański pokaz strachu zrobił takie wrażenie na Kelgianach, że wzięli pana nie zaglądając nawet w pańskie dossier. Moim obowiązkiem jest teraz przedstawić panu reguły rządzące tą wojną. A ponieważ temat będzie z konieczności nieco krwawy — dodał z sarkastycznym uśmiechem — proszę oszczędzić mi zakłopotania i starać się nie zemdleć ponownie…

Kiedy dotarło do niego znaczenie tych słów, Dermod musiał dokonać niemałego wysiłku, aby nie pokazać po sobie ogromnej ulgi i radości. A więc udało się! Tymczasem jednak usiłował przybrać wyraz przygnębienia i lęku, jaki przybrałby każdy zwykły żołnierz ziemskiej armii po otrzymaniu takiej wiadomości.

Teren działań, wytłumaczył Strażnik, będzie ten sam co zwykle i ustalono już liczbę żołnierzy walczących po obu stronach. Nie są przewidziane żadne posiłki dla wyrównania strat, czy to Ziemian, czy Kelgian, a w mało prawdopodobnym przypadku przedłużania się wojny uzupełniane będą tylko zapasy żywności i zniszczony sprzęt wojenny. Nie będzie żadnej innej opieki medycznej oprócz tej, jaką na żądanie zapewni Straż.

Broń dozwolona Ziemianom to karabiny i pistolety z detonacją chemiczną na zwykłą amunicję oraz granaty ręczne. Wyposażenie Kelgian będzie w zasadzie podobne, z tym że dostaną nowocześniejszą broń palną na naboje rozrywające…

Dermod uniósł się na krześle z protestem na ustach. Na myśl o tym, co nabój rozrywający może zrobić z człowiekiem, poczuł nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wyjąkał:

— Ale… ale…

— Uznaliśmy — ciągnął niewzruszenie oficer — że ponieważ powłoka cielesna Kelgian działa na ich niekorzyść, trzeba im to wyrównać rodzajem broni. Chciał pan coś powiedzieć?

— Tylko tyle, że mogliście wybrać coś bardziej, no cóż… humanitarnego.

— To słowo nie pasuje do okoliczności — odparował chłodno oficer. — Gdybyście kierowali się pobudkami humanitarnymi, to cała wasza nieszczęsna banda nie uchwaliłaby tej wojny. Czy ma pan jeszcze jakieś pytania?

Dermod miał niejedno pytanie, ale byłoby to mocno podejrzane, gdyby taki tchórzliwy i przestraszony osobnik, jakim starał się przedstawić, zaczął nagle je zadawać. Mimo wszystko postanowił coś

niecoś wybadać.

— Na tamtej planecie jest kilka dużych wysp — powiedział bojaźliwie. — Zastanawiam się, czy…

— Czy będziecie mogli prowadzić działania na morzu — przerwał mu Strażnik. — Odpowiedź brzmi: nie. To ma być wojna ściśle lądowa.

— A jak ze wsparciem lotniczym?

Strażnik znów potrząsnął głową.

– Żadnych myśliwców ani bombowców. Będziecie mieć do dyspozycji kilka lekkich samolotów rozpoznawczych, jeśli znajdą się jacyś durnie, którzy na nich polecą. Nie będzie też artylerii, granatników ani żadnego innego typu broni dalekiego zasięgu. Rozpętaliście tym razem nielichą wojnę i zamierzamy dopilnować, aby okazała się krwawa i nieprzyjemna dla was wszystkich razem i każdego z osobna. Ma pan jeszcze pytania? Nie? To do widzenia.

Gotując się ze złości Dermod opuścił budynek, w którym każde spojrzenie skierowane na jego mundur wyrażało pogardę, lekceważenie lub szyderstwo. Miał po dziurki w nosie okazywania uległości tym zjadliwym i ironicznym tyranom w zielonych mundurach Straży; zawsze budziło to w nim upokorzenie, wściekłość i frustrację, a już ostatnia rozmowa była najgorsza ze wszystkiego. Od spoliczkowania którejś z tych nienawistnych twarzy — bardzo nierozważny gest w każdym wypadku powstrzymywała go jedynie myśl, że dni poddaństwa są już policzone.

Dziś po południu udał mu się pierwszy krok śmiałego i dalekosiężnego planu: major Jonathan Dermod został wybrany do walki. Następny krok może okazać się trudniejszy, bo ten sam major Dermod musi jeszcze wojnę wygrać. Ale trzeci i ostatni krok będzie najprostszy: lawina, gdy raz ruszy, już się nie zatrzyma…

Wokół potężne helikoptery Straży siadały na lądowiskach niczym wielkie rozzłoszczone owady. Inne, stojące już na ziemi, wypluwały z siebie długie płaskie skrzynie z bronią, które personel naziemny sprawdzał i nosił pod czujnym, zimnym wzrokiem Strażników trzymających listy przewozowe. Dermod zaklął pod nosem z bezsilnej wściekłości. Przy rozładunku zatrudniono naturalnie tych mężczyzn, którzy nie zostali wybrani do walki i na nich spadał cały trud przygotowania w ciągu trzech tygodni Siedemnastej Ziemskiej Ekspedycji Zbrojnej, podczas gdy ci, którzy mieli walczyć, dostali urlop do chwili wejścia na pokład. To stanowiło doskonałą ilustrację pozornej dobroczynności, pod której płaszczykiem Strażnicy robili swoją brudną robotę.

Słusznie i sprawiedliwie byłoby złożyć ciężar przygotowań na barki mężczyzn jadących na wojnę zamiast dawać im trzy tygodnie wolnego na zamartwianie się tym, co ich czeka.

To nie to, co w dawnych czasach, pomyślał Dermod, i po raz któryś z rzędu pochwycił go dławiący żal. Spróbował sobie wyobrazić, że ryk helikopterów transportowych to grzmot tysięcy ciężkich bombowców zaciemniających niebo, pocięte białymi smugami artylerii przeciwlotniczej, lub groźny huk ognia zaporowego. Poniosła go fantazja i cofnął się myślą do tej odległej, na wpół legendarnej przeszłości, kiedy życie było bujne, burzliwe i ekscytujące.

Strumienie powietrza wyły w szczelinach osłony kabiny rozbitej pociskami strzelca tylnego wrogiego samolotu, a zalane olejem gogle utrudniały obserwację przyrządów jego małego myśliwca. Ale miał pod kciukiem duży czerwony przycisk na drążku sterowym i liczył się tylko rosnący obraz bombowca w celowniku, jakby trzymało go tam na uwięzi osiem białych linii pocisków smugowych. Ogień jego działek bombardował, szarpał, rozrywał kadłub nieprzyjaciela. Odpadły stateczniki, rozdarte na strzępy, i nagły, oślepiający, pomarańczowy blask ognia przy jednoczesnym wybuchu paliwa i ładunku bomb oznajmił koniec bombowca. Maleńki myśliwiec zakołysał się i zadygotał gwałtownie, wleciawszy w obręb rozszerzającej się eksplozji; Dermod, miotany na wszystkie strony, przywarł do fotela w zatłoczonym wnętrzu czołgu i poprzez hałas, kurz i swąd gorącego oleju wykrzykiwał rozkazy swojej załodze. Fontanny żwiru i kamieni wznosiły się w niebo wokół jego pancernego rumaka, odłamki skał i szrapnele nie imały się opancerzonych boków, a seria z pikującego samolotu rozdarła ziemię parę jardów od jego miażdżących grunt, metalowych gąsienic. Działko Dermoda waliło teraz nieprzerwaną, serią w kadłub samolotu i cały wszechświat zdawał się składać z grzmotu piorunów i kłębów gryzącego sinego dymu. Teraz Dermod przechadzał się po mostku ciężkiego krążownika grzmiącego salwami ze wszystkich burt i patrzył z dumą na najpiękniejszy z możliwych widoków: na ogromną, niezwyciężoną flotę, zmierzającą na spotkanie z wrogiem…

Tamte wojny, pomyślał Dermod z nostalgią, wracając niechętnie do chwili obecnej, to było coś.

Gdy znalazł się z powrotem w kwaterze, próbował się zdrzemnąć, ale bezskutecznie. Czuł przemożną potrzebę ponownego omówienia planów z generałem, a zwłaszcza Wielkiego Planu. Najbardziej jednak brakowało mu przyjaznej dłoni na ramieniu i spokojnego, rzeczowego głosu, który raz jeszcze zapewniłby go, że to, co zamierza zrobić, zaowocuje prawdziwym dobrem dla ogromnej większości istot obdarzonych inteligencją. Niestety, generał, który miał wielki dar przekonywania, był w tej chwili na Kelgii, wybierając do walki najgorsze z możliwych egzemplarze gąsienic, i nie spodziewano się go

na Ziemi wcześniej niż za tydzień.

Podjąwszy nagłą decyzję, Dermod zmienił mundur na cywilny kombinezon: utopi wątpliwości i niepewność w pracy. Zdawał sobie dobrze sprawę, że pośród ubogiej, nieraz błądzącej, ale przywiązanej do tradycji mniejszości, z której składała się najniższa warstwa społeczna współczesnej ziemskiej cywilizacji, był kimś wyjątkowym, gdyż posiadał znajomość taktyki i strategii wojskowej zastrzeżoną normalnie dla studiujących Galaktyków. Co więcej, zdawał też sobie sprawę, że sposób w jaki rozegra się ta wojna, będzie zależeć od morale jego żołnierzy, a znając Straż wiedział, że sam musi dopilnować, aby to morale zostało jak najmniej nadszarpnięte do chwili wyjazdu. A potem… cóż, miał parę pomysłów na potem, ale na razie wolał je zatrzymać dla siebie.

Wyszedł z obozu i pojechał do oddalonego o parę mil miasta. Zmierzchało i na ulicach roiło się od cywili, żądnych sensacji Galaktyków i sporych gromadek żołnierzy, których szerokie białe pasy obwieszczały fakt, że wezmą udział w nadchodzącej wojnie. Gdzie rzucić okiem, tam u boku każdego munduru szła przynajmniej jedna wpatrzona weń z podziwem przedstawicielka płci żeńskiej, tu więc na razie nie było niebezpieczeństwa obniżenia morale. Dermod zaparkował i skierował się do najbliższego baru.

Nalewając sobie drinka z konsoli z napojami zauważył od razu kilkunastu żołnierzy, w większości pośrodku głośnych ożywionych grupek. Ale przy sąsiednim stoliku siedział markotny porucznik, słuchający z uwagą słów cywila o potężnej tuszy i potężnym basie, który stawiał mu kieliszek za kieliszkiem. Dermod sam został mimowolnym słuchaczem.

— Pamiętam, jak się biliśmy z Brelthianami parę lat temu — snuł głośno wspomnienia grubas. — To był niewielki konflikt w porównaniu z tym teraz, ale w owym czasie mocno dał nam się we znaki. Te ośmiornice z Brelthi są tak wielkie i ciężkie, uważasz, że Straż zezwoliła im na pasy antygrawitacyjne, po jednym na łepka, oczywiście z określonym udźwigiem, żeby zwiększyć im swobodę ruchu. I jak myślisz, co te skunksy zrobiły? Zaczęły pożyczać sobie pasy. Jedne chodziły bez nich, a inne wkładając trzy lub cztery naraz, wznosiły się w górę i waliły do nas z powietrza! Ale i tak wygralibyśmy tę wojnę, gdyby ci przeklęci Strażnicy nie…

Patrząc na weterana konfliktu brelthycko-ziemskiego Dermod doszedł do wniosku, że to jeden z tych bezwartościowych typów, którym zawsze udaje się prześliznąć przez wojnę i nic z siebie nie dać. Albo też to zwykły nicpoń, bo jego wywody zaczęły zmierzać w kierunku, który wcale się Dermodowi nie podobał.

— Jeśli chcesz, posłuchaj mojej rady, przyjacielu, i postaraj się o miłe, bezpieczne zajęcie w Kwaterze Głównej, a najłatwiej coś znaleźć

w zaopatrzeniu, i siedź tam cicho jak mysz pod miotłą. Generalicja boi się o swoją skórę jak wszyscy inni i możesz być pewien, że poprowadzi wojnę z bezpiecznej odległości. — Zamilkł, przysunął się bliżej i znacząco obniżył głos: — Nie powinienem właściwie tego mówić, ale jeśli nie uda ci się załatwić nic na tyłach, a zrobi się naprawdę gorąco, to podobno można skontaktować się ze Strażą i…

— Mogę panu postawić, poruczniku? — przerwał mu szybko Dermod, wskazując na opróżnioną w dwóch trzecich szklaneczkę na stole i wystukując na konsoli dwa razy to samo. Do grubasa zaś rzekł ostro: Słyszałem, co pan tu wygadywał, i wstyd mi za pana! Porucznik ma zamiar walczyć, a nie siedzieć z założonymi rękami, prawda, poruczniku? Jeśli tylko reszta naszych żołnierzy wygląda równie mężnie i kompetentnie, to wojna nie potrwa długo! — I dodał z wściekłością A w ogóle kim pan jest? Tajniakiem ze Straży? Wygląda mi pan na takiego!

Grubas z oburzeniem zaprotestował przeciwko tej insynuacji, ale porucznik, wciąż zdumiony, że ktoś uważa go za mężnego i kompetentnego, kazał mu odejść. Kiedy ujrzał przed sobą napełnioną szklaneczkę, uśmiechnął się niewyraźnie i powiedział:

— Dziękuję

Rozdział 2

Porucznik przedstawiał się imponująco: jego wysoka, szczupła sylwetka dobrze prezentowała się w szarobrązowym mundurze, zaprojektowanym dla Ziemskich Sił Zbrojnych, w błyszczących wysokich butach z cholewami i w białym, szerokim pasie, stanowiącym pamiątkę po tradycyjnym parcianym pasku przy dawnym mundurze polowym — ogólnie biorąc przyjemnie było na niego popatrzeć. Tylko twarz wieńcząca ten elegancki mundur nie pasowała do całości i nosiła, mówiąc najoględniej, wyraz głębokiego niepokoju. Dermod ponownie przeklął grubasa pod nosem, i chcąc choć po części naprawić zło wyrządzone przez jego gadaninę, powiedział głośno:

— Niech pan nie zwraca uwagi na to, co mówił ten niewydarzony patałach. Będziemy walczyć podczas tej wojny i co więcej, wygramy ją… tym razem wszystko potoczy się inaczej. Pozwoli pan, że chwilę porozmawiamy — ciągnął tonem człowieka, który prosi o wyświadczenie mu zaszczytu. — Nie zajmę panu dużo czasu, bo z pewnością spieszy się pan na randkę z jakąś ślicznotką i nie chciałbym…

— Nie mam żadnej randki — przerwał mu porucznik. — Widzi pan, właśnie niedawno się ożeniłem i ona… ja… — zakrztusił się i zamilkł, najwyraźniej starając się zapanować nad sobą. Przez jedną straszną chwilę Dermod obawiał się, że wybuchnie łzami.

Widział całą tę żałosną scenę: młody małżonek powołany do walki, przestraszony, młoda żona, też przestraszona, zabrania mu jechać. Dylemat. Kłócą się i on wychodzi poszukać odwagi w kieliszku. Ani śladu kręgosłupa, charakteru, czegokolwiek, pomyślał Dermod z niechęcią. I z takim materiałem mam prowadzić wojnę!

Przeklęci Strażnicy!

Albowiem Straż, jak sama twierdziła, kierowała się szlachetną i wzniosłą zasadą, według której poszczególne jednostki wszystkich ras zamieszkujących Galaktykę mają prawo do maksimum wolności. Każdy osobnik mógł zajmować się czym chciał, pod warunkiem, że nie naruszał wolności pozostałych członków społeczeństwa. A jeśli dwie grupy istot poróżniły się do tego stopnia, że ich spór mogła rozstrzygnąć tylko wojna, to proszę bardzo, Straż urządzała im wojnę!

Ale ponieważ życie jest rzeczą cenną, głosiła z nabożną obłudą, to jeśli już ktoś ma je stracić, niech będą to jednostki najmniej wartościowe. I cel ten został osiągnięty dzięki specjalnym zespołom z obu stron wybierającym najgorszych żołnierzy z armii przeciwnika, przy czym Strażnicy usłużnie udostępniali im także kompletne psychologiczne dossier wybranych żołnierzy, co im nakazywała — jak

twierdzili — elementarna uczciwość. Krótko mówiąc oznaczało to, że najlepsi żołnierze nigdy nie mieli możliwości wzięcia udziału w wojnie, że ich szkolenie było wobec tego stratą czasu i że osobnicy, którzy ostatecznie zostawali żołnierzami i których później wybierano do walki, stanowili zbieraninę najgorszych niedołęgów.

Powody, dla których mężczyźni wstępowali dzisiaj do wojska, myślał Dermod z goryczą, były najróżniejszej natury, od histerycznego albo niemądrego patriotyzmu do zwykłej chęci noszenia munduru, co pomagało w podbojach miłosnych. Współczesny żołnierz był albo moralnym zerem, albo psychicznym wrakiem.

Ale porucznika trudno winić za to, kim był, a był w końcu jednym z oficerów, na których Dermod musi polegać w nadchodzących tygodniach. Wskazana tu była pierwsza pomoc psychologiczna i to szybko. Dermod zignorował niebezpieczeństwo łez i zaczął mówić spokojnie, pewnie i jakby od niechcenia o nadchodzących działaniach wojennych. Z wolna jego towarzysz przestał rozczulać się nad sobą, zaczął sam wtrącać własne komentarze i okazywać coraz większe zainteresowanie. Może nawet zbyt duże, bo nagle stał się podejrzliwy.

Przerywając Dermodowi niecierpliwym ruchem ręki, powiedział: — Mówi pan, że ta wojna będzie inna, że cała kampania nie zamieni się jak zwykle w bezładną i haniebną bieganinę, w śmieszną farsę odgrywaną ku uciesze Strażników! Wciąż pan to powtarza. Ale skąd pan wie? I w ogóle kim pan jest? — Tu porucznik urwał, a jego mętny od alkoholu wzrok stał się nagle jasny i bystry. Powiedział: — Gdzieś już pana widziałem, i to niedawno. Ależ tak! Pan… pan jest tym majorem, który zemdlał na widok pełzaczy!

Dermod zesztywniał. Źle się stało, bardzo, bardzo źle. Porucznikowi można z pewnością wiele zarzucić, ale nie brak inteligencji czy spostrzegawczości. Jego głos stawał się coraz donioślejszy, a historyjka o majorze, który najpierw zemdlał, a potem chodził w cywilnym ubraniu dodawać ducha żołnierzom, na pewno szybko się rozejdzie…

Najmniejsze podejrzenie nie może zdradzić istnienia Wielkiego Planu, dopóki wojna się nie zacznie. Wszystko od tego zależało. Porucznikowi trzeba za wszelką cenę zamknąć usta.

— Pan jest rzeczywiście najodpowiedniejszą osobą — ciągnął tamten szyderczo — żeby wypowiadać się o…

— Milczeć!

Dermod przemówił spokojnie, ale w jego głosie niespodziewanie zadźwięczała władcza nuta.

— Niech pan posłucha i siedzi cicho!

Narażał się na spore ryzyko, ale nic innego mu nie pozostawało. Będzie musiał co nieco wyjawić, chcąc zapewnić sobie jego milczenie, ot, tylko tyle, żeby porucznik nie paplał na prawo i lewo o rzeczach na

pozór nieistotnych, które jednak, gdy dotrą do niewłaściwych uszu, mogą zdradzić cały Plan. Powiedział krótko:

— Zemdlałem albo raczej udałem, że mdleję, rozmyślnie. Chyba pan rozumie, co się za tym kryje… jeżeli nie jest pan oczywiście zbyt pijany. I zdaje pan sobie sprawę, że nasza rozmowa musi pozostać w ścisłej tajemnicy, bo gdyby Strażnicy zaczęli się domyślać, co zrobiłem…

Celowo nie dokończył zdania.

Ale porucznik nie był zbyt pijany. Zdumienie i złość wobec nagłego ostrego tonu Dermoda ustąpiły przebłyskowi zrozumienia.

— Udał pan zemdlenie specjalnie, żeby zostać wybranym do walki! — skonstatował z przejęciem i natychmiast z pierwszego słusznego wniosku wyciągnął drugi, niesłuszny. — Sądząc z pana słów i pewności siebie inni musieli zrobić to samo!

— Zgadł pan — powiedział Dermod szybko. — Lecz proszę to zachować do własnej wiadomości. Jeszcze kieliszek?

Porucznik wstał i wyprostował się, dumny i poważny. Odparł:

— Nie, dziękuję. Mogłoby mi to dzisiaj zbyt rozwiązać język, a rano miałbym ciężką głowę. Od jutra… — oczy mu lśniły i wyglądał, jakby słuchał odległych dźwięków fanfar — od jutra muszę być w szczytowej formie. Chyba pójdę już do domu. Dobranoc, panie majorze.

Ręka drgnęła mu spazmatycznie, gotowa zasalutować, lecz w porę przypomniał sobie, że Dermod jest w cywilu, odwrócił się i wymaszerował.

Podnosząc się i wychodząc za nim Dermod miał przyjemne uczucie dobrze spełnionego obowiązku. Pozwolił porucznikowi myśleć, że po stronie Ziemian są jeszcze inni tacy jak on, ale to nieporozumienie mogło jedynie wpłynąć dodatnio na jego morale, więc go nie prostował. W każdym razie udało mu się przekształcić jednego przerażonego mężczyznę w mundurze, w gotowego na wszystko i pełnego entuzjazmu żołnierza.

Jednakże kiedy wyszedł z baru, dobry humor go opuścił. Może sprawił to widok Strażnika, kroczącego niczym ciemnozielony upiór poprzez hałaśliwy, podniecony tłum, a może widok tylu Galaktyków na ulicach. Galaktycy pochodzenia ziemskiego, których oficjalnie określano mianem Obywateli Galaktyki, często odwiedzali strony zamieszkane przez swoich ubogich krewnych, uważając ich za romantycznych zawadiaków, którzy prowadzą niebezpieczne i barwne życie. Świadomość, że olbrzymia większość ziemskiej populacji składa się z tych bezwolnych i zdegenerowanych intelektualistów, napawała Dermoda wstydem i obrzydzeniem, tym większym, iż sam się niegdyś do nich zaliczał. Lecz główną przyczyną jego nagłego przygnębienia stało się rosnące przekonanie, że jest tylko małym, nic nie znaczącym

pionkiem, starającym się ruszyć z posad bryłę, która jest nie do ruszenia.

Musiał sobie wciąż powtarzać, że bryła jest nie tyle nie do ruszenia, ile bardzo, bardzo duża, ale za to tak delikatnie zbalansowana, że nawet niewielka siła, odpowiednio przyłożona, wysadzi ją z posad.

Nie tylko na Ziemi, lecz praktycznie na wszystkich innych planetach Unii Galaktycznej układ był w zasadzie taki sam. Na samym dole skali społecznej znajdowali się malkontenci, którzy z reguły nie byli ani zbyt etyczni, ani wykształceni i zamieszkiwali kolonie różnej wielkości, od dużego miasta do pasa terytorium zajmującego pokaźną część kontynentu. Koloniści byli niezmiernie, prawie fanatycznie dumni ze swojej chlubnej przeszłości. Wierzyli, że tylko oni kultywują do dziś przedsiębiorczość, idealizm i niezłomność charakteru, które cechowały ich przodków, i uważali się za jedynych prawdziwych reprezentantów swojej rasy.

Niemniej w przypadku Ziemi, która niczym się tu od innych planet nie różniła, ponad dziewięćdziesiąt pięć procent ludności stanowili Obywatele Galaktyki. A ci, oprócz niewielkiej liczby naukowców i lekarzy, wykonujących niewątpliwie użyteczną pracę, tworzyli w istocie zastępy nieproduktywnych, rozmiłowanych w przyjemnościach życia estetów, którym było wszystko jedno, co się dzieje i kto rządzi Galaktyką. Toteż Galaktyków tu na Ziemi i tych zamieszkujących inne planety Unii mógł nie brać pod uwagę jako realnej siły, wystarczy rozprawić się ze Strażą.

Dermod uśmiechnął się z goryczą: Wystarczy rozprawić się ze Strażą!

Ci, którzy stanowili prawa w Galaktyce, nie byli głupi. Galaktyków praktycznie nie kontrolowano, jako że z ich strony istniało niewielkie prawdopodobieństwo buntu. Za to w koloniach aż roiło się od Strażników w mundurach i po cywilnemu. Kolonie były źródłem kłopotów i potencjalnymi ogniskami buntu w całej Galaktyce, o czym Straż wiedziała, stosując konieczne w jej mniemaniu środki ostrożności. Dermod był jednak pewien, że tym razem nawet Strażnicy nie poradzą sobie z rozwojem wypadków.

Wyprostował się energicznie i zrzucił z siebie resztki przygnębienia: czekała go praca. Wszedł do innego baru i szybko zlustrował go wzrokiem. Dwóch podoficerów siedziało przy stole dyskutując półgłosem ze zmartwionymi minami. Dermod przysiadł się do nich. Spytał:

— Mogę wam postawić, koledzy?

Takim i innym sposobem w ciągu następnych trzech tygodni Dermod poznał sporą liczbę swoich żołnierzy. Nie był zachwycony.

Ale ponieważ uważał się za niezłego psychologa, wierzył, że jego rozmowy z nimi przyniosły pewne korzyści. Zanim zdarzył się wypadek, który pozwolił mu zerwać ostatecznie z poprzednim życiem, studiował na Uniwersytecie Galaktycznym historię i psychologię — zupełnie jakby jako młody, niespokojny chłopak z tamtych dni posiadł dar jasnowidzenia, nie mógł bowiem wybrać przedmiotów dających lepsze przygotowanie do przyszłego zadania.

I raptem, wraz z zaokrętowaniem Ziemskiego Korpusu Ekspedycyjnego to zadanie przestało należeć do przyszłości, a stało się teraźniejszością.

Wznosząc się w górę na widmowo-niebieskich słupach napędu odrzutowego dwadzieścia siedem rakiet transportowych Straży wraz z żołnierzami i ich wyposażeniem opuściło Ziemię. W dziesięć dni później podczas których Dermod prośbą i groźbą nakłaniał poległych mu oficerów do przyjęcia jego nowej, śmiałej koncepcji prowadzenia wojny wylądowali na Planecie Wojennej nr 3, która została wybrana jako najbardziej odpowiednia do prowadzenia wojen pomiędzy ciepłokrwistymi i oddychającymi tlenem mieszkańcami Galaktyki. Ale minęły jeszcze dwa dni, zanim puste rakiety odleciały i ostatni propagandyści Straży, którzy upierali się towarzyszyć w podróży korpusowi ziemskiemu, oddalili się do swojej bazy, odległej o niecałe pięćset mil. Dopiero wtedy Dermod odetchnął z ulgą i wiedząc, że żadna część planu nie została odkryta przez Strażników, zaczął przygotowania do drugiego etapu.

Miał przynajmniej cztery tygodnie swobody poczynań. Był to okres dany oficerom i żołnierzom na rozlokowanie się, oswojenie z bronią i w ogóle wprawienie się w coś w rodzaju bojowego nastroju. Lub na odwrót: aż nazbyt liczna grupa mężczyzn, którzy wzięli na serio demoralizujące opowieści propagandystów, planowała sposoby dezercji. Pod koniec tego okresu, jak Dermod wiedział, przyjdzie kolejny psycholog Straży szerzyć dalszy defetyzm i dopiero potem zacznie się wreszcie wojna.

W każdym razie tak to wyglądało dotychczas…

Rozdział 3

Pierwszego dnia, kiedy zostali uwolnieni od towarzystwa Straży, Dermod zarządził generalny przegląd wojska. Mimo całej powagi sytuacji nie mógł powstrzymać uczucia rozbawienia, kiedy idąc wolno wzdłuż wyprostowanych szeregów żołnierzy widział w ich oczach zdumienie i niedowierzanie. Oczywiście wszyscy pamiętali go jako majora, który zemdlał podczas inspekcji wroga, dlaczego więc teraz kroczy z insygniami pułkownika na wyłogach? I dlaczego ten tak raptownie awansujący dowódca przeprowadza inspekcję tylko z dwoma podoficerami zamiast ciągnąć za sobą sznur młodszych oficerów? Dlaczego, skoro już o tym mowa, na całym placu apelowym nie widać ani jednego oficera?

Kiedy Dermod dał komendę „spocznij" i wszedł na podium, określenie „skupił na sobie niepodzielną uwagę zebranych" byłoby niewystarczające. Stał bez słowa przed kilka minut i patrząc na żołnierzy przekładał mikrofon z ręki do ręki. Wreszcie przemówił:

— Zapewne zastanawiacie się, kim właściwie jestem — zaczął spokojnie — i macie ku temu powody. Nie zamierzam zadośćuczynić w tej chwili waszej ciekawości, oficerowie zajmą się tym wieczorem. Dość będzie, jeśli powiem, że pewne sprawy trzeba było trzymać w sekrecie przed Strażnikami, ale teraz przed wami nie musimy już zachowywać tajemnicy. Chcę obecnie pomówić o naszym wrogu, jego budowie fizycznej, broni i najefektywniejszych sposobach zabijania go. Omówię także pewne zasady taktyki i strategii, które zapewnią nam zwycięstwo w tej wojnie.

Niejedne usta otworzyły się ze zdumienia na to chłodne założenie, że mogą osiągnąć coś, co było nieosiągalne od wieków. Dermod udał, że tego nie widzi, i ciągnął dalej:

— W bezpośrednim pojedynku pełzacz nie ma szans z żadnym z nas. Kelgianie to nic więcej, tylko wielkie, niekształtne, futrzane worki, wypełnione krwią i innymi płynami fizjologicznymi, praktycznie pozbawione szkieletu. Przy każdej głębszej ranie wymagają specjalnej pomocy medycznej, inaczej szybko wykrwawiają się na śmierć. Natomiast my jesteśmy bardziej wytrzymali i dlatego Straż, chcąc wyrównać szanse obu stron, dała im pociski rozrywające, a nam — zwykłą amunicję. Jednak nawet mimo przewagi w uzbrojeniu uważam, że nie mogą się z nami równać…

Wcale im się to nie podobało, ani trochę. Przypominał im w ten sposób, że sami narażają się na krwawą śmierć. Dermod szybko zmienił temat na nieco mniej drażliwy, myśląc przy tym z goryczą o innych historycznych głównodowodzących, którzy przemawiali do żołnierzy przed bitwą: Henryk V w Azincourt, Montgomery w El

Alamein, Klaudiusz przed ostateczną bitwą, która miała dać mu całą Brytanię. Ci dowódcy wzbudzali taką miłość, lojalność i idealistyczny zapał, że ich poddani z chęcią oddaliby za nich życie.

Ale w dzisiejszych czasach nie należało mówić o ideałach, o śmierci czy chwale. Dzisiaj trzeba przyrzec wojsku opiekę i gwarantować nie tyle chwałę, ile bezpieczeństwo.

— Uprzedzam was, żołnierze — ciągnął Dermod — strategia, jaką przyjąłem, będzie kosztowała niejedno życie, ale życie wroga. Jeśli zaś chodzi o wasze i moje bezpieczeństwo, bo zamierzam walczyć na froncie razem z wami, a nie siedzieć w bazie, to skwituję to powiedzeniem odpowiednim do okoliczności: Nikt nie może żyć wiecznie, ale przynajmniej może spróbować! Tak, będziecie bezpieczni — kontynuował poważnym tonem. — Ale bezpieczeństwo nie polega na unikaniu bezpośredniego kontaktu z wrogiem, na ucieczce czy dezercji. Polega na zlikwidowaniu przeciwnika, zanim on nas zlikwiduje: szybko, skutecznie i przy minimum wysiłku. Musicie napadać na wroga, gdy najmniej tego oczekuje, gdy je lub śpi, a zwłaszcza gdy jest święcie przekonany, że nic mu nie grozi w obrębie setek mil. Musicie wyrastać przed nim spod ziemi i zabijać, nim zauważy, co się święci. Popatrzcie!

Na dany znak nieobecni dotąd oficerowie wkroczyli gęsiego na plac apelowy, wywołując chóralny, gromki śmiech. Świecący zwykle przykładem i nienagannie ubrani, szli teraz ciężkim, nierównym krokiem, lekko zgarbieni, kiwając niespokojnie głowami z boku na bok. Tworzyli groteskowy widok przez swoje zaczernione twarze i bezkształtne, bure, a jednak dziwnie znajome mundury, których krój znikł pod przypadkowymi plamami brązowej, zielonej i ziemistożółtej farby, nie mówiąc już o brudnej siatce udrapowanej wokół hełmów i przyozdobionej dziwnymi strzępkami roślin. Tylko broń mieli czystą i lśniącą.

Obserwując ich Dermod zatarł ręce. Jego mowa do żołnierzy, w każdym razie do tej chwili, nie miała w sobie nic z taniego przymilania się i kadzenia, którego oczekiwali. Była natomiast tak zwięzła i rzeczowa, że wprawiła większość z nich w osłupienie. Teraz nadszedł odpowiedni moment na odrobinę odprężenia, czas na rozładowanie nagromadzonego napięcia, a jednocześnie na danie im ważnej lekcji…

Poszarpany szereg oficerów rozwinął się w tyralierę, która krok po kroku zbliżyła się do zarośli na obrzeżu placu apelowego i naraz bezszelestnie i niewiarygodnie znikła. Śmiech zamarł jak za dotknięciem różdżki.

— Niewiele mam już do dodania — podjął Dermod od niechcenia. Nie za miesiąc ani za tydzień, ale już jutro zaczniecie się uczyć, jak stawać się niewidzialnymi, jak zabijać i nie obawiać się wroga.

Weźmiecie swoje śliczne mundury i zerwiecie z nich wszystkie niepotrzebne ozdóbki, urżniecie też te szykowne oficerki poniżej łydki, a niech no jakiś elegant spróbuje je glansować, to osobiście obedrę go ze skóry. Potem pomalujecie się farbami, naszyjecie na siebie szmaty i obwiesicie się zielskiem tak, żebym sam nie mógł poznać, czy mam do czynienia z krzewem czy z kopczykiem ziemi tej przeklętej planety. Słowem, nauczycie się sztuki kamuflażu. A kiedy psycholog Straży przyjedzie tu za miesiąc ze swoją kłamliwą, defetystyczną pogadanką, będziemy już w połowie drogi do zwycięstwa, gdyż wróg nie może się spodziewać tak szybkiej akcji z naszej strony. Oni wciąż będą zbroić się w odwagę do bitwy. Na naszą korzyść zadziała i element zaskoczenia, i taktyka oraz metody walki stanowiące zupełne odejście od dotychczasowych tradycji, no i oczywiście czysto fizyczna przewaga naszego gatunku.

Ktoś zaczął wiwatować, a inni podjęli okrzyk. Dermod przerwał, zdumienie i różne mieszane uczucia na chwilę odebrały mu głos. Każde jego słowo było wyważone i pomyślane jako psychologiczny bodziec, ale nie spodziewał się aż tak silnej i szybkiej reakcji. Był zadowolony, lecz jednocześnie czuł wzgardę dla tych mężczyzn tak łatwo dających sobą kierować i złość na siebie bez żadnej widocznej przyczyny. Nagle ryknął:

— Cisza!

Kiedy się uspokoili, ciągnął:

— Właśnie chciałem zaznaczyć, że ta czysto fizyczna przewaga jest najmniej ważna. Macie zapomnieć, że jesteście ludźmi walczącymi z gąsienicami. Musicie na czas wojny pogrzebać wszelkie ludzkie uczucia i sentymenty i zamienić się w zimnych, bezlitosnych, skutecznych zabójców. Od dziś macie w szkoleniu przejść samych siebie, a swoją służbę traktować jako powinność, filozofię i sposób bycia. Pamiętajcie, że żaden gatunek w całej Galaktyce nie może się z wami równać, bo zawód każdego z nas to wojownik. A wiwaty — dodał — zostawcie sobie na później, kiedy już wygracie wojnę. Rozejść się!

Ale oni i tak zaczęli wiwatować bez opamiętania.

Generał Prentiss czekał na niego w gabinecie sztabowym. Sam nic nie zrobił, odkąd opuścił Ziemię, oprócz nadania Dermodowi stopnia pułkownika, jak to było wcześniej uzgodnione, żeby Dermod mógł zostać najwyższym rangą oficerem w służbie czynnej. Choć miał bystry umysł, generał nie był typem zawodowego żołnierza, gdyż swoją pozycję zawdzięczał polityce. Ale to właśnie Prentiss dostrzegł wyjątkowe talenty Dermoda i nakreślił przed nim pierwsze luźne szkice późniejszego Wielkiego Planu.

Oddając mu niedbale salut, generał powiedział:

— Słuchałem pana mowy, pułkowniku, i wygląda na to, że praktycznie jedli panu z ręki. — Uśmiechnął się porozumiewawczo. — I co dalej?

Dermod znów poczuł się nieswojo, jak mu się to często zdarzało w obecności tego małego, pękatego człowieczka o niespokojnych oczach, który był politycznym i wojskowym przywódcą całej niegalaktycznej populacji Ziemi. Czułby się znacznie lepiej, gdyby przywódca Ziemian był ulepiony z twardszej gliny, ale zapewne Straż pilnie baczyła, żeby nikt o silnej indywidualności nie objął przypadkiem jakiegoś odpowiedzialnego stanowiska. Jednak wolałby, aby generał był mniej przymilny wobec swoich podwładnych, rzadziej się uśmiechał i w ogóle zachowywał się bardziej jak przystoi na generała.

Szybko odpędził podobne myśli jako niesprawiedliwe i niegodne, i odpowiedział:

— Teraz musimy odnieść jakieś wstępne zwycięstwo. Nic wielkiego, rozumie pan, może to być choćby potyczka między patrolami, ale wynik musi być tak druzgocący, aby nasi ludzie uwierzyli, że są niepokonani. Jeżeli w to uwierzą, naprawdę będą niepokonani. Myślałem, żeby zorganizować to następująco…

— Brzmi nieźle — powiedział generał, kiedy Dermod skończył. Wstał, znów się uśmiechnął swoim porozumiewawczym uśmiechem i wyszedł. Dermod, który właśnie chciał zaproponować, aby omówili wspólnie dalsze kroki, potrząsnął z irytacją głową, po czym zamknął drzwi na klucz. I usiadł, żeby w spokoju wszystko przemyśleć.

Planeta Wojenna nr 3 — nikt nigdy nie poświęcił jej dość uwagi, żeby nadać jej jakąś przyzwoitą nazwę, choć dorobiła się paru nieprzyzwoitych — była jednym z kilkunastu nie zamieszkanych światów, zarezerwowanych przez Straż do rozstrzygania konfliktów przy użyciu siły. Inne miały środowiska odpowiadające istotom oddychającym chlorem, gatunkom żyjącym pod wodą lub nawet formom życia przetwarzającym bezpośrednio energię słoneczną. A ponieważ właśnie nr 3 nadawała się, choć z trudem, dla ciepłokrwistych istot oddychających tlenem, toteż na nią Straż wysłała Ziemian i Kelgian do stoczenia swojej wojny.

Planeta nie miała absolutnie nic do zaoferowania oprócz atmosfery. Jedyny rozległy kontynent w kształcie rombu położony wzdłuż równika był monotonnym, nie kończącym się pustynnym stepem, poprzecinanym niskimi gołymi górami i przeoranym pajęczyną jarów, parowów i wyschniętych koryt rzecznych. Kilka wysepek, które składały się na resztę stałego lądu planety, było mniejszą kopią jedynego kontynentu. Niemniej flora krzewiła się na tym ponurym terenie z zadziwiającą bujnością gęste, szerokolistne rośliny pokrywały powierzchnię mieszaniną brązu, zgniłej zieleni i

brudnej żółci. Ale nie były w stanie wyżywić żadnych większych gatunków zwierząt prócz stworzeń mierzących kilka centymetrów, ani nie były dość gęste, by chronić przed pyłem.

Tak oto wyglądało pole bitwy.

Nieco ponad dwieście mil na wschód leżała baza Kelgian, a mniej więcej pięćset mil na północ znajdował się niewielki ośrodek Straży. Cały obszar pomiędzy nimi to była w tej chwili dla Dermoda biała plama, zupełnie nieznane tereny walk. Dopóki nie sporządzi dokładnych map i nie dostanie szczegółowych fotografii tego terytorium, niewiele może zdziałać.

Zdecydowawszy, że bez bliższych danych, nic więcej nie wymyśli, Dermod postanowił na tym zakończyć dzień.

Rozdział 4

Nazajutrz rano zaczęły się ćwiczenia. Uformowany w cztery bataliony po dwa tysiące ludzi, z audiomistrzami rozmieszczonymi w regularnych odstępach wzdłuż szeregów, Ziemski Korpus Ekspedycyjny wymaszerował dziarsko z bazy. Cztery kolumny stopniowo się rozdzieliły zmierzając w stronę wyznaczonych terenów operacyjnych, aż nikły w kurzu unoszącym się spod kół ciężarówek dostawczych zamykających tyły. Dopiero wtedy Dermod przestał obserwować wymarsz i wrócił na naradę ze swoją Grupą Wsparcia Powietrznego.

Składała się ona z poruczników pilotów Dowlinga, Cliftona i Briggsa oraz z około trzydziestu osób personelu pomocniczego. Ci ostatni należeli do dwutysięcznej rzeszy służb kwatermistrzowskich, złożonych z mężczyzn, których Dermod uznał za absolutnie niezdolnych do walki byli to niepoprawni i śmierdzący tchórze w odróżnieniu od potencjalnie odważnych tchórzy, którzy właśnie wymaszerowali — ale nawet oni przejdą takie samo szkolenie, kiedy tylko obowiązki im pozwolą. Trzej porucznicy natomiast to odrębni, specjalnie dobrani tchórze. Wszyscy trzej reprezentowali ten typ człowieka, który najchętniej działa w pojedynkę, wszyscy byli kiedyś właścicielami helikopterów, więc nie bali się wysokości, wszyscy łatwo się zapalali i łatwo dawali sobą kierować. Porucznik Clifton, mężczyzna, którego Dermod spotkał w barze owego wieczoru, gdy wybrano go do walki, był szczególnie zdyscyplinowany i on właśnie został ich przywódcą.

— Siadajcie, panowie — powiedział Dermod, gdy weszli. — Nie chcę zatrzymywać was dłużej niż to konieczne, więc będę się streszczał. Kiedy podchodziliśmy do lądowania — zaczął dziarsko — kazałem wam robić przez wizjery fotografie terenu i chociaż niektóre zdjęcia wypadły całkiem dobrze, dają one tylko ogólny zarys powierzchni kontynentu, na którym obecnie przebywamy. Teraz trzeba oznaczyć wszystkie szczegóły — każdą górę, przełęcz, dziurę w ziemi czy krzak. Te dane mają fundamentalne znaczenie. Od nich zależy taktyka, która zapewni nam jak najmniejszą liczbę ofiar z naszej strony. Proponuję, żebyście robili zdjęcia wczesnym rankiem albo późnym popołudniem, kiedy długie cienie ułatwiają odczytanie rzeczywistego ukształtowania terenu, Przerwał i przybrał ton zarazem poważny; jak i przepraszający. — Czeka was, panowie, samotne, niełatwe, a ponadto nudne zadanie, ale pamiętajcie, że wasza trójka należy do najważniejszych ludzi w armii. Od waszej pracy zależy cała nasza przyszła strategia. Przede wszystkim zróbcie mapę terenu między nami a bazą wroga, ale nie zbliżajcie się, powtarzam, nie

zbliżajcie się do nieprzyjaciela. Nie powinni powziąć podejrzeń, że zaczęliśmy już działania wojenne. To wszystko — zakończył Dermod z uśmiechem. — Chciałbym, żeby porucznik Clifton poleciał ze mną na czoło naszych czterech kolumn. Dwaj pozostali niech lecą za nami i ćwiczą się w formowaniu szyku ku pokrzepieniu serc towarzyszy na ziemi. Dziękuję panom. Chodźmy.

Dermod poleciał kolejno do czterech batalionów, rozprzestrzenionych teraz na trzydziestu milach terytorium, chcąc osobiście dodać ducha dowodzącym oficerom. Te wizytacje — nie były konieczne, ale Dermod obiecał, że będzie walczyć wraz ze swymi ludźmi, i nie chciał sprawić złego wrażenia zostając w bazie. Tymczasem dwa towarzyszące mu samoloty wykonywały niezgrabne ewolucje na bezpiecznej wysokości. Hipnotaśmy, które lotnicy dostali, dawały im pełną wiedzę na temat pilotażu ich maszyn, ale wiedza to nie umiejętności, które przychodzą dopiero z praktyką. Po ostatniej inspekcji Dermod nakazał samolotom uformować klucz i razem oddalili się w kierunku bazy nieprzyjaciela.

Szyk odrzutowców z rykiem i hukiem zmierzający nad linie wroga bardziej dodałby ducha ludziom patrzącym z dołu, pomyślał Dermod ze smutkiem, ale nawet te trzy niewielkie samoloty stanowiły krzepiący symbol.

Z dwóch tysięcy stóp jego oddziały nie wyglądały bynajmniej imponująco. Każda kolumna miała trzy łaziki zwiadowcze — na czele i po obu bokach — i dwanaście kulistooponowych transporterów sprzętu. Zwiadowcy byli na swoich właściwych pozycjach, choć w żadnym razie nie należało się jeszcze spodziewać ataku wroga; niemniej Dermod życzył sobie, aby jego oficerowie od razu nabyli właściwych nawyków. Liczba transporterów została skrupulatnie wyliczona: miały zapewnić pełną obsługę bez fundowania wolnego miejsca leniom, którzy mieliby ochotę się przejechać; chciał, by każdy żołnierz wyrobił w sobie maksymalną sprawność i wytrzymałość.

Same bataliony nie wyglądały już jak równe marszowe kolumny, ale przypominały pocięte dżdżownice, na których tyłach kręciły się lub stały nieruchomo plamki małych ludzików. Zaczęły się ćwiczenia i dzielni kombatanci uczyli się wreszcie strzelać, rzucać kamieniami — mieli jeszcze zbyt ślamazarne ruchy, żeby dać im do ręki prawdziwe granaty — i stawać się niewidzialnymi na wzór kameleonów. Dermod wpadł na pomysł, żeby każdy oddział po kolei szedł do przodu i urządzał zasadzkę na maszerujących kolegów. Bardzo dobrze zdawało to egzamin; jednych nauczyło czujności, a drugich prędkiego wyszukiwania kryjówki, bo musieli się spieszyć, żeby wyprzedzić kolumnę, a popołudniowy upał zniechęcał do długich biegów.

Dermod patrzył, dopóki jego oddziały nie skurczyły się i nie

zniknęły za horyzontem, po czym skierował oczy przed siebie.

Natychmiast po powrocie do bazy Dermod zadzwonił do generała, bo podczas lotu zaniepokoiła go pewna myśl. Powiedział:

— Panie generale, nam przyznano dodatkowo do użytku trzy samoloty, a co dostały pełzacze?

— Skąd mogę wiedzieć — odrzekł ze śmiechem jego rozmówca. Pewno działka przeciwlotnicze. Czy to pana martwi?

— Nie, panie generale — odparł Dermod krótko i rozłączył się.

Zły był na tak lekkie potraktowanie go przez dowódcę. Czy generał nie zdawał sobie sprawy, że działa przeciwlotnicze mogą również służyć do walk na ziemi? Ale to nie jest broń przeciwlotnicza, powiedział sobie, byłoby to zbyt proste rozwiązanie dla Straży. Bo Strażnicy byli uczciwi, szatańsko uczciwi i Dermod miał pewność, że jeśli im nie powiedzieli, co dali Kelgianom dla zrównoważenia tych trzech samolotów, to nie powiedzieli i tamtym, że Ziemianie mają samoloty. Dermod postanowił trzymać to w sekrecie przed wrogiem, dopóki się da.

Ale kiedy wieczorem położył się do łóżka, nie mógł zasnąć rozmyślając, jaką też niespodziankę kryją dla nich w zanadrzu pełzacze. To pytanie nie dawało mu spokoju.

W dwa dni później Clifton wrócił z lotu nieprzytomnie podniecony. Kiedy Dermod uspokoił go trochę, porucznik zameldował, że widział kolumnę wroga wychodzącą z bazy. Kierowali się nie w stronę Ziemian, ale jakieś czterdzieści stopni na południe. Był za daleko, żeby określić dokładną liczbę i skład, ale…

Dermod przerwał mu ostro nie kryjąc złości:

— Miał pan rozkaz nie zbliżać się do ich bazy!

Duma i oczekiwanie na pochwałę ustąpiły miejsca rosnącej konsternacji, Clifton szybko więc wyjaśnił:

— To był błąd nawigacyjny, panie pułkowniku. Ale cały czas trzymałem się od nich na zachód, w słońcu. A prądy od gór pozwoliły mi kołysać się w powietrzu ze zgaszonym silnikiem, więc nie mogli mnie nawet usłyszeć. Mógłbym krążyć nad nimi cały dzień…

— Jak blisko pan był?

— Sześć do siedmiu mil.

Było mało prawdopodobne, aby z odległości sześciu mil dostrzeżono w blasku słońca szybujący bezgłośnie samolot. Dermod wyobraził sobie porucznika, jak manewruje maszyną w prądzie pilnując, aby utrzymać ją na tle słońca, a jednocześnie obserwuje cel przez lornetkę, i poczuł, że gniew go opuszcza. Clifton wykazał wiele sprytu i inicjatywy. Ale w tym momencie wyglądał jak skazaniec przed egzekucją. Dermod uśmiechnął się nieoczekiwanie i powiedział:

— Już dobrze, Clifton. Źle pan postąpił, ale użył pan szarych

komórek, by obrócić tę sytuację na naszą korzyść. To mi się podoba. Czy umiałby pan zrobić coś podobnego jeszcze raz?

Clifton pokiwał z zapałem głową.

— Teren jest górzysty i zawsze przed zmierzchem tworzą się prądy wznoszące.

— W porządku. Wobec tego niech pan codziennie o tej porze prowadzi obserwację tej kolumny i melduje mi o jej ruchach. Ale — dodał z naciskiem — gdyby zaistniało najmniejsze ryzyko, że pana dostrzegą, proszę się natychmiast wycofać. Zrozumiano? Bardzo dobrze, może pan odejść, Clifton.

Kiedy porucznik wyszedł, Dermod pogrążył się w myślach. A więc pełzacze wysłały w teren kolumnę, której liczba i skład są na razie nieznane. Z dużym prawdopodobieństwem można jednak odgadnąć, z kogo się ta kolumna składa i jaki był powód tak szybkiego wysłania jej poza bazę. On sam, gdyby był typowym oficerem Ziemskich Sił Zbrojnych, postąpiłby w tych dniach podobnie.

W każdej współczesnej armii pewien procent stanowili żołnierze, którzy nie dość, że sami byli do niczego, to jeszcze mieli zły wpływ na innych — niczym zgniłe jabłka w skrzynce już przejrzałych owoców. Podczas gdy w bazie trwało szkolenie i ogólne podnoszenie morale, takich osobników wysyłano zwykle z jakąś mało ważną misją — jak zbieranie sprzętu pozostałego po poprzednich wojnach — żeby się ich pozbyć. Przeważnie ukrywali się gdzieś albo dezerterowali, co ich dowódcy uważali za niewielką stratę. Dermod natomiast postąpił odwrotnie, zatrzymując zgniłe jabłka w bazie, a najlepszych ludzi wysyłając od początku w teren, gdzie — jeśli wszystko potoczy się po jego myśli spotkają się wkrótce z najgorszymi żołnierzami przeciwnika…

Nazajutrz, po kolejnym raporcie Cliftona, Dermod skierował swój pierwszy i drugi batalion na południe, żeby odciąć tamtym odwrót choć na razie jego ludzie nic jeszcze nie wiedzieli o wrogim oddziale. Szkolenie trwało nieprzerwanie. Trzeciego dnia, kiedy mięśnie i stawy zaczęły protestować przeciw takiemu niecodziennemu wysiłkowi, ćwiczenia straciły aspekt nowej, podniecającej zabawy. Między czwartym a szóstym dniem widoczne już były pierwsze wyniki musztry: żołnierze szybciej reagowali na rozkazy, byli bardziej wytrzymali i coraz pewniejsi siebie, ale jednocześnie tak obolali i zmęczeni, że niemal bliscy buntu.

Jednakże Dermod nie dawał im wytchnienia. Kiedy grupa ludzi z trzeciego batalionu znalazła skrzynię z dziwnymi klamrami o osobliwym kształcie, zdecydował, że bez względu na to, do czego służyły w przeszłości, teraz doskonale posłużą do okopywania się, a więc do programu szkolenia włączono instruktaż, jak wykopać sobie

jamę pod ogniem przeciwnika — usypując przed sobą kopczyk ziemi i pod tą prowizoryczną osłoną kopiąc dalej. Żołnierze nie sarkali nawet zbytnio na dodatkowy wysiłek czy brud związany z tą robotą, ale tutejsza gleba roiła się od insektów, które niemiłosiernie gryzły.

Kierowcom łazików zwiadowczych powodziło się najlepiej z całej armii, dopóki jeden z nich nie znalazł na wpół zasypanej, rozbitej cysterny z jakiegoś poprzedniego konfliktu zbrojnego. Dermod odzyskał z niej dość blachy, aby opancerzyć kabiny samochodów zwiadowczych przeciwko wszelkiej broni oprócz granatu rzuconego z bliskiej odległości. Ale przez to w południe w środku było niemożliwie gorąco, a przez resztę dnia niewiele lepiej. W rezultacie kierowcy czuli się znacznie bezpieczniej, dzięki czemu wykonywali swoje zadania o wiele pewniej, ale przepełniała ich równie mordercza wściekłość jak całą resztę wojska.

Dziewiątego dnia wszyscy byli tak zmęczeni, obolali i podenerwowani, że niewiele brakowało, aby rzucili się sobie do gardeł. Ale na ten dzień Dermod przygotował im małą potyczkę z wrogiem…

Rozdział 5

Na pierwszy rzut oka cały plan przedstawiał się tak łatwo — według słów Cliftona odznaczał się klasyczną prostotą — że Dermod czuł się nawet nieco zawstydzony. Od sześciu dni miał kolumnę pełzaczy pod tak ścisłą obserwacją, że mógł przepowiedzieć kierunek i odległość, jakie wróg przebędzie, z dokładnością do kilku mil i paru stopni łuku. Znał nie tylko zamiary wroga, ale i każde wzgórze, wąwóz i potencjalnie użyteczną kępę roślin w okolicy, którą wybrał na pierwsze starcie. Pułapka, jaką zastawił — kryjąc żołnierzy z drugiego batalionu w zaroślach po obu stronach doliny, gdzie powinna pójść kolumna wroga — była niezawodna, a dochodził jeszcze element zaskoczenia i przewaga liczebna jego ludzi wynosząca aż sześć do jednego!

Ale aby uzyskać całkowitą pewność, że wróg wybierze tę dolinę, a nie trochę trudniejszą przełęcz na południu albo wyschnięte koryto rzeki na północy, pułapka musi mieć przynętę.

Dermod długo myślał nad tym, kto by najlepiej spełnił rolę sera; w pułapce na myszy. Wszystko zależało od powodzenia tego pierwszego ataku. W końcu zdecydował, że jedyną osobą, której zdolnościom i wyczuciu sytuacji może zawierzyć, jest on sam.

I dlatego właśnie dziewiątego dnia, po wyjściu z bazy, dwie godziny przed południem leżał nieruchomo w krzakach wraz z sierżantem, kierowcą ukrytego z tyłu łazika, obserwując zbliżającą się kolumnę pełzaczy. Sierżant o nazwisku Davis co chwilę wygłaszał szeptem uwłaczające i krytyczne uwagi: Kelgianie przypominają wielkie, obrzydliwe ślimaki, wprost skóra na nim cierpnie, gdy widzi ich wygięte w kabłąk grzbiety, i jak takie powolne, niezdarne i ogólnie rzecz biorąc ohydne stworzenia mają czelność mierzyć się z ludźmi, to przechodzi jego, sierżanta, wyobrażenie.

Dermod nie przerywał mu, wiedząc, że Davis po prostu dodaje sobie ducha umniejszając wagę przeciwnika, aż naraz pełzacze znalazły się dwieście jardów przed nimi. Z tej odległości w kolumnie, która dotąd przypominała leniwą rzekę rtęci, zaczęły się wyróżniać poszczególne jednostki, okryte srebrnym futrem, a niski niesamowity szum, który u istot posuwających się na brzuchu stanowił zapewne ekwiwalent miarowego szybkiego marszu, był już tak dobrze słyszalny, że włosy stawały na głowie.

Dopiero wtedy Dermod powiedział:

— Cicho, Davis. Biegiem do samochodu!

Z Dermodem na stanowisku obserwatora Davis wyjechał pędem z ukrycia na otwartą przestrzeń ukazując się w całej pełni

nieprzyjacielowi. Zatrzymał się na moment, pozornie zaskoczony, po czym zawrócił i ruszył w kierunku doliny, gdzie Dermod założył pułapkę. Wyglądając po paru sekundach przez tylny otwór obserwacyjny Dermod spodziewał się ujrzeć pełzaczy w namiętnym pościgu za pojedynczym i najwyraźniej spłoszonym pojazdem zwiadowczym wroga. Tymczasem to pełzacze były najwyraźniej spłoszone i przerażone. Zamiast sprowokować pogoń, nagłe pojawienie się łazika wprawiło je w konsternację — zaczęły kręcić się niespokojnie w kółko, a niektóre nawet uciekać!

Dermod zaklął.

— Wysiadajmy, szybko! — rozkazał. — Kładź się pod wozem i udawaj, że majstrujesz coś przy silniku, udawaj, że mamy kłopoty. Albo jeszcze lepiej — poprawił się szybko, gdy Davis zeskoczył obok na ziemię — oblej te krzaki ropą i podpal…

Już po chwili nie było widać Kelgian zza żółtego, gęstego dymu Davis nie pożałował ropy! Dopiero teraz pełzacze pojęły, że Ziemianie są w tarapatach. Przez dym zaczęły śmigać pociski, które eksplodowały gdzieś przed nimi. Wtem dwie trafiły w opancerzoną kabinę nad ich głowami odrywając płat blachy.

— Wsiadamy! — krzyknął Dermod. Ale sierżant nie czekał na rozkaz i gdyby Dermod spóźnił się o ułamek sekundy, Davis od jechałby bez niego.

Pociski wybuchowe świszczały wokół, obsypując boki wozu gradem żwiru, odprysków kamieni i odłamków. Ale najgorsze były bezpośrednie trafienia — huk pocisków rozrywających się z całym impetem na metalowej osłonie kabiny rozsadzał Dermodowi głowę jak ogłuszający cios. Samochód podrygiwał i trząsł się rzucając nim na fotelu jak szmacianą lalką, w kabinie panował duszący upał i smród ropy wyciekającej z przebitego przewodu paliwowego.

Jakimś trzeźwym i obiektywnym zakamarkiem umysłu dziwił się, jak mógł być takim głupcem, żeby uważać coś podobnego za podniecającą przygodę, a jednocześnie spychał z gazu nogę Davisa, aby nie wyprzedzili zanadto wroga. Sierżant miał trzymać się tuż za zasięgiem granatów i prowadzić auto w taki sposób, aby wróg myślał, że jest sam i uległ panice. Będąc w tym momencie naprawdę w panice, Davis ignorował pierwszą część rozkazu, podświadomie wypełniając co da joty drugą. I tak trwała ta złowieszcza przepychanka na pedale gazu, aż w wizjerach mignęły zbocza doliny, obsadzone przez ludzi Dermoda; jednak łazik wciąż pędził przed siebie.

Dermod wielokrotnie z naciskiem podkreślał, że cała kolumna wroga ma znaleźć się w dolinie, zanim odkryje pułapkę. Teraz żałował, że nalegał na to tak stanowczo.

Grad pocisków dziurawił i rozrywał opancerzenie kabiny, i można

sobie było wyobrazić ruinę nie zabezpieczonych części wozu. Zapach paliwa był teraz tak silny, że zatykał płuca jak dusząca smrodliwa mgła. Nagle rozległ się ostry szczęk. Coś metalicznie zazgrzytało o oparcie jego siedzenia, gwałtowne szarpnięcie za ramię obróciło go do tyłu, a jednocześnie ognisty błysk śmignął mu koło policzka. Jasne, oślepiające słońce wtargnęło raptem do wnętrza kabiny i Dermod ledwo zdążył w ogłuszonym umyśle zarejestrować widok wielkiej, ziejącej dziury w metalowej osłonie, kiedy autem zatrzęsło potężne, obezwładniające drżenie. Z jękiem rozpadającej się skrzyni biegów pojazd stanął.

Davis z szeroko otwartymi ustami i grymasem strachu szarpał klamkę. Dermod krzyknął, żeby nie wychodził, ale poprzez hałas sam nie słyszał własnego głosu, chwycił więc sierżanta za ramię, właśnie gdy temu udało się otworzyć drzwi. Kula dum-dum trafiła sierżanta prosto w twarz, cała głowa zamieniła się w krwawą miazgę i ciało opadło z powrotem na siedzenie. Dermod szybko go puścił i zatrzasnął drzwiczki.

Ale we wnętrzu kabiny robiło się coraz goręcej, mimo powietrza wpadającego przez rozdartą blachę. Dermod czuł, że płoną mu stopy, podłoga zaczynała się rozżarzać do czerwoności, a przez pęknięte spoiny widać było ogień. Musi się stąd wydostać nawet ryzykując kule pełzaczy, bo w przeciwnym razie spłonie żywcem. Zaczął mocować się rozpaczliwie z klamką. Na moment serce mu zamarło — drzwi się zacięły — potem wyskoczył jak oszalały, zgiął się w kabłąk i potoczył w bok jak najdalej od auta. Był w odległości zaledwie paru kroków, gdy zajęły się zbiorniki paliwa i wóz z hukiem wyleciał w powietrze.

Kiedy czołgał się byle dalej od piekącego żaru, dotarł do niego nowy dźwięk: grzmot dwóch tysięcy karabinów, które wypaliły niemal równocześnie. Leżał bez ruchu; strzały stopniowo cichły, a dziwne, miaukliwe, bulgoczące odgłosy, które nie mogły pochodzić z ludzkich krtani, też wkrótce umilkły. Wtedy wolno przewrócił się na plecy i usiadł.

Pojedynczo i jedne na drugich ciała całej kolumny pełzaczy leżały niczym sterta wypchanych, bezkształtnych worków, z których wyciekała jasnoróżowa farba — krew pełzaczy miała nieprawdopodobnie pastelowy odcień w porównaniu z krwią ludzką. Otaczały je podniecone grupki jego żołnierzy. Muszę kazać pogrzebać wszystkich poległych, pomyślał Dermod ze znużeniem, a ich transportery zamaskować dla naszego przyszłego użytku. Najważniejsze to zabezpieczyć śmiercionośne karabiny wroga i nauczyć żołnierzy, jak się z nimi obchodzić. Straż nie może odkryć najmniejszego śladu tego, co się tu wydarzyło. I trzeba wygłosić krótką mowę pochwalną do żołnierzy.

Natychmiast poczuł głęboką niechęć do wszystkich tych rzeczy. Marzył tylko o tym, żeby jak najszybciej stąd odejść i odsunąć od siebie widok głowy Davisa. Chciał wrócić do bazy, otoczyć się książkami i mapami, i dalej zgłębiać teoretyczne problemy wojny, bo jej praktyczna strona okazała się o wiele mniej przyjemna, niż myślał. Musi jednak wywiązać się ze swoich obowiązków, powiedział sobie wstając wolno na nogi i odchodząc od dopalającego się łazika; musi wygrać wojnę.

Zwycięski drugi batalion pomaszerował do bazy, gdzie po kilku dniach wróciły i inne oddziały. Szkolenie odbywało się nadal z równą intensywnością, tyle że w pobliżu bazy, a żołnierze nosili zapasowe eleganckie, szarobrązowe mundury zamiast nowych ubiorów bojowych lada dzień spodziewano się wizyty psychologa Straży i Dermod nie chciał, aby zauważył on coś niezwykłego. Strażnicy mieli bystry wzrok, a już i tak działo się zbyt wiele niecodziennych rzeczy, żeby mogło to ujść jego uwagi.

I rzeczywiście nie uszło. Psycholog dostrzegł coś niesłychanie, niewiarygodnie niepokojącego — ze swojego punktu widzenia. Wpadł, wrząc z gniewu, do gabinetu sztabowego, w którym znajdowali się generał, podpułkownik Simons z kwatermistrzostwa i Dermod.

Skończył właśnie pogadankę dla żołnierzy, jak zwykle prawiąc im głupstwa o swojej dobroczynnej organizacji, która jest jednocześnie orędownikiem idei maksymalnej wolności jednostki i oczywiście Straż pozwoli im na wojnę, jeżeli naprawdę tego chcą, niemniej czuje głęboką troskę na myśl, że tak wielu obiecujących młodych ludzi bez protestu idzie na śmierć. Długo i szczegółowo, jak to tylko psycholog Straży potrafi, rozwodził się nad rodzajem tej śmierci, która może ich spotkać, jeśli będą upierać się przy swoim szaleństwie. Apelował do nich, żeby podjęli inteligentne, bardziej cywilizowane kroki i żyli, zamiast umierać w strasznych męczarniach…

Zwykle jedna czwarta obecnych dezerterowała po takim przemówieniu, a reszta była tak zdemoralizowana, że wojna kończyła się w przeciągu kilku tygodni. Ale tym razem w ogóle go nie słuchali. A kiedy próbował porozmawiać z paroma sam na sam, śmiali mu się prosto w nos albo odchodzili!

Dermod zdusił w zębach przekleństwo. Powtarzał im wielokrotnie, jak się mają zachowywać podczas wizyty psychologa. Ale żołnierze Drugiego Batalionu posmakowali już krwi — obnosili się po bazie jak zwycięskie koguty — i chłopcy z innych batalionów błagali Dermoda, żeby poprowadził ich ku podobnym lub większym zwycięstwom. W całej bazie trudno było znaleźć człowieka wyglądającego na tchórza, choćby w rzeczywistości nim był.

Ale mogliby przynajmniej wykazać więcej dobrej woli, pomyślał Dermod ze złością, słuchając tyrady Strażnika.

— I w ogóle, co się tutaj dzieje? — ryczał psycholog. — Ci ludzie stali się fanatykami! To jedyne właściwe słowo. Nie podoba mi się to, nasza polityka nie przewiduje…

— Przyjechał pan do nas dość późno — przerwał mu chytrze generał — zapewne najpierw był pan u pełzaczy. Ilu z nich udało się panu skłonić do dezercji?

— Z naszych ludzi nikt nie zdezerteruje! — oznajmił chełpliwie pod pułkownik Simons — a to znaczy, że zaczniemy wojnę z przewagą liczebną. Rozbijemy ich w puch!

Simons był zaopatrzeniowcem — jako starszy oficer cierpiał na kilka odmian zaawansowanych nerwic: panicznie reagował na nagły hałas, nie potrafił zasnąć na dworze, a nadto w ogóle nie mógł spać bez światła w pokoju, była to więc jedyna funkcja, jaką mógł sprawować, i nigdy nie oddalał się poza bazę. Ale i jego porwał zapał wojenny unoszący się w powietrzu. Dermod znów zaklął. Zarówno Simons, jak i generał mieli zapowiedziane, że muszą zachowywać się kornie wobec Strażnika czołgać się przed nim, lizać mu buty, być gotowym do usług na każde zawołanie — żeby jak najszybciej się wyniósł i dał im w spokoju prowadzić wojnę. A tymczasem oni go prowokowali!

I swoją głupią, nieprzemyślaną chełpliwością narażali cały Plan… Dermod mruknął coś do generała, przeprosił i wyszedł. W sekretariacie zastał Cliftona i dwóch podoficerów. Powiedział im, co mają robić, i odczekał dziesięć minut, aby ochłonęli ze zdumienia i wykonali rozkaz. Może te, środki ostrożności okażą się zbyteczne, ale sądząc po tym, jak rozwijało się spotkanie za drzwiami… Potrząsnął głową i ze złością wrócił do gabinetu sztabowego.

— Ktoś nabił tym ludziom głowy fałszywą wizją heroizmu — w głosie Strażnika gniew mieszał się z pogardą. — Zobaczymy, co pozostanie z tych złudzeń, kiedy zakosztują pocisków rozrywających Kelgian i…

— Stawią im czoła, spokojna głowa! — Przerwał znów Simons tak podniecony, że głos wzniósł mu się do falsetu. — Dobraliśmy się im już raz do skóry i chętnie…

— Simons! — huknął Dermod nie mogąc się dłużej powstrzymać. — Zamknij tę cholerną gębę!

Strażnik drgnął przestraszony i zamyślił się. Po chwili wstał i spokojnym głosem rzekł:

— Nie podoba mi się ta cała sytuacja. Z nieopatrznie rzuconych słów podpułkownika właśnie dowiedziałem się, że miała miejsce jakaś potyczka z Kelgianami, o której nie wie nawet ich dowództwo! Niemniej jestem przekonany, że tak było, sądząc po nastrojach waszych żołnierzy. Nie słyszałem też dotąd o żadnej armii, w której

major może kazać zamknąć się podpułkownikowi. Tak więc dopóki nie wyjaśnimy tych spraw, odwołuję na razie wojnę. Jak tylko wrócę do bazy Straży, przyślę wam transport powrotny.

Generał i Simons zaczęli protestować jeden przez drugiego, z twarzami pobladłymi na myśl, do czego doprowadziła ich pyszałkowatość i zbyt długi język. Dermod z mściwą satysfakcją patrzył, jak piją piwo, które sobie nawarzyli. Generał Prentiss pierwszy odzyskał głos:

— Ależ nie może pan tego zrobić! Reguły mówią, że jeśli nie uda się panu zniechęcić do walki określonego procentu wojska, to wojna ma się toczyć bez ingerencji Straży, dopóki jedna lub obie armie nie zdecydują, że…

— To, co tu widzę — przerwał Strażnik — ma wszelkie oznaki dobrze zaplanowanego i rozległego spisku, toteż reguły się nie liczą. My je ustanawiamy, więc i my możemy je łamać. Żegnam panów.

Widząc, co się święci, Dermod niepostrzeżenie nacisnął łokciem brzęczyk do sekretariatu. Teraz wstał szybko i otworzył szeroko drzwi przed Strażnikiem. Uśmiechnął się, kiedy psycholog stanął jak wryty na progu, aby odwróciwszy się, wycedzić:

— Bardzo dramatyczny widok. Co to ma znaczyć?

Dermod zamknął ponownie drzwi, zostawiając za nimi szóstkę groźnie wyglądających żołnierzy w strojach bojowych i z bronią gotową do strzału, fachowo ustawionych w podkowę. Z zakłopotaniem powiedział:

— Nigdy dotąd tego nie robiłem, więc nie znam odpowiedniej formułki, ale jest pan aresztowany. A teraz chyba muszę odebrać panu broń.

Strażnik, o dziwo, uśmiechnął się. Wskazując na kaduceusz na wyłogach munduru, rzekł:

— Lekarze i psycholodzy nie noszą broni, chyba że dla ochrony przed pozbawionymi inteligencji istotami mięsożernymi. — Z wymownym spojrzeniem, które obejmowało całą bazę i wszystkich obecnych, dorzucił sarkastycznie: — Jak widać, to błąd.

Generał i Simons wrośli w ziemię ze zdumienia na widok poczynań Dermoda. Zostawił ich nie wdając się w wyjaśnienia i w asyście swoich żołnierzy wyprowadził psychologa z budynku. Kiedy przechodzili przez plac apelowy, helikopter Strażnika — dla nich bezużyteczny, bo nie miał hipnotaśmy, jak się z nim obchodzić — odciągano właśnie na bok, a samolot Cliftona wznosił się w powietrze…

Nazajutrz Ziemski Korpus Ekspedycyjny wyruszył do akcji.

Rozdział 6

Dermod krótko i zwięźle przemówił do żołnierzy, kiedy stali już w szyku, gotowi do wymarszu. Powiedział, że Drugi Batalion zdążył się okryć chwałą dzięki temu, iż znalazł się najbliżej tamtej kolumny pełzaczy — to zwycięstwo mogło równie dobrze przypaść w udziale któremukolwiek z czterech batalionów. Wszyscy przeszli takie samo szkolenie i teraz każdy będzie miał okazję — zmierzyć się z przeciwnikiem. Nie ma zamiaru zagrzewać ich do walki, schlebiać im ani wygłaszać górnolotnych frazesów o patriotycznym obowiązku wobec własnej planety, który powinni spełnić. Wie, że go spełnią, bo są nie tylko mieszkańcami Ziemi, jednymi z nielicznych, którzy mają w pamięci świetne tradycje świata sprzed epoki kosmicznej, ale przede wszystkim są potomkami rasy największych w dziejach wojowników.

Dodał, że jak dotąd jedyną ofiarą śmiertelną jest bohaterski sierżant Davis i o ile będą się stosować do instrukcji i zachowają zimną krew w pozornie niebezpiecznych sytuacjach, to zupełnie możliwe, że więcej ofiar nie będzie. W każdym razie on, Dermod, z pewnością podobnie jak wszyscy inni, bardzo by sobie tego życzył. Zakończył surowym ostrzeżeniem, że jeśli jakiś rozgorączkowany idiota da się przez własną głupotę postrzelić, to osobiście udusi go gołymi rękoma.

Wymaszerowali ze śpiewem na ustach, a Dermod wsiadł do samolotu z porucznikiem Briggsem, żeby sprawdzić rozmieszczenie łazików i plutonów zwiadowczych. Clifton oczywiście jeszcze nie wrócił i teraz, kiedy cień ich samolotu przesuwał się po maszerujących kolumnach żołnierzy dwa tysiące stóp niżej, Dermod zadał sobie pytanie, czy go w ogóle jeszcze kiedyś zobaczy. Clifton miał do spełnienia bardzo ważną misję i gdyby zginął, gdyby jego zmasakrowane lub zwęglone zwłoki leżały teraz w rozbitym wraku samolotu gdzieś na trasie do bazy Straży, Dermod doprawdy nie wiedziałby, co robić. Kiedy Briggs wylądował tuż obok łazika, nikt w całej armii nawet się nie domyślał, jak niepewnie czuje się ich dowódca.

Dermod wspiął się na nie osłonięty tył łazika i zapukał w osłonę kabiny, dając znak do odjazdu. Pojazd ruszył z nagłym zrywem, który rzucił go na siedzenie obok Strażnika. Zdecydował poprzednio, że lepiej wziąć psychologa ze sobą, niż ryzykować zostawienie go pod kluczem w bazie, gdzie mógłby przekonać jakiegoś łatwowiernego osobnika, żeby go wypuścił. Teraz Strażnik obserwował wszystko z chłodną, niemal naukową ciekawością. Miał nieobecny wyraz twarzy, jakby już pisał o tym w myśli artykuł do jednego ze swoich

zawodowych periodyków. Nagle się odezwał:

— Jak pan to zrobił, majorze… to znaczy pułkowniku? — poprawił się z sarkazmem. — Słyszałem, co mówią o panu pańscy żołnierze, jest pan dla nich po prostu chodzącą legendą. I ciekawi mnie ta wielka bitwa, którą pan wygrał…

— To nie była żadna wielka bitwa — odparł Dermod z irytacją. Był z siebie dziwnie niezadowolony i niepokoił się o Cliftona, ponadto zaś poważnie obawiał się następstw ostatnich wydarzeń mogących zrujnować Wielki Plan. A tymczasem generał zachowywał się jak przestraszona stara baba i w niczym mu nie pomagał — zaaresztowanie Strażnika, jedyne posunięcie, jakie Dermodowi w tej sytuacji pozostawało, śmiertelnie przeraziło generała. Mimo wszystko Dermod starał się panować nad sobą i mówić tak cicho, żeby kierowca go nie usłyszał. Powiedział: — Przewyższaliśmy ich sześciokrotnie siłą i wzięliśmy ich przez zaskoczenie. To było zwycięstwo, ale nie bitwa.

— Niech pan to sobie nazywa jak pan chce — odparł Strażnik mnie chodzi głównie o listę ofiar. W tej kolumnie, którą wciągnęliście w zasadzkę, było, jak się dowiedziałem w bazie Kelgian, dwustu pięćdziesięciu trzech osobników, a te istoty, jak pan wie, łatwo pozbawić życia. Jaki jest procent zabitych i gdzie są jeńcy?

— Nie ma jeńców.

— Zabiliście… ich wszystkich?

Dermod przytaknął.

Przez resztę dnia Strażnik się nie odezwał. Był blady, wyglądał nie najlepiej i starał się siedzieć jak najdalej od Dermoda.

Strażnik pozostał małomówny przez następne cztery dni, podczas których Briggs i Dowling nieustannie obserwowali z powietrza bazę pełzaczy. Meldowali, że siły przeciwnika są rozrzucone w jakichś pięciusetosobowych grupach na wzgórzach wokół ich bazy, najwyraźniej oddając się ćwiczeniom wojskowym. Prócz faktu, że drugiego dnia wieczorem podpalili spory obszar roślinności — zapewne przez nieuważne obchodzenie się z pociskami rozrywającymi — meldunki nie zawierały nic nadzwyczajnego.

Właśnie tego samego wieczora Dermod zdecydował, że nie ma co dłużej ukrywać swych samolotów przed wrogiem, gdyż Dowling wrócił ze zwiadu z dwukrotnie przestrzelonym końcem skrzydła. Po wylądowaniu powiedział mu z pobladłą ze strachu twarzą, że gdyby pociski trafiły na jakiś element konstrukcji zamiast przejść na wylot przez płótno, mogłoby to się skończyć katastrofą samolotu, w której poniósłby śmierć. Obecny przy tym Briggs potwierdził jego słowa. Obaj odmówili dalszych lotów.

Dermod przez trzy bite godziny używał całego swego daru perswazji, zanim zgodzili się zmienić decyzję i to pod warunkiem, że będą prowadzić obserwacje tylko poza zasięgiem strzału. Nadal więc

otrzymywał dokładne meldunki o masowych ruchach przeciwnika, ale bardziej szczegółowe detale, zwłaszcza ten, co pełzacze dostały dla zrównoważenia jego trzech samolotów, pozostawały tajemnicą. Żeby choć Clifton już wrócił…

Wszystkie jego plany i starannie obmyślane z góry posunięcia są jak budowle z piasku — co będzie, jeśli Cliftonowi się nie powiedzie? Ale musi nadal robić to, co robi, wiedząc przez cały czas, że w każdej chwili może tu nadlecieć z hukiem flota wojenna Straży i wszystko zniweczyć.

Zaczynał też stopniowo nienawidzić generała za to, że okazał się chwiejną i strachliwą starą babą: Prentiss raz po raz rozkazywał mu odesłać Strażnika do bazy Ziemian, najwidoczniej chcąc zawrzeć z nim jakiś układ. Zaczynał również nienawidzić siebie za rolę, jaka mu przypadła w tej wielkiej i szlachetnej misji wyzwolenia Galaktyki spod tyranii Straży, bo czuł, że znakomita większość populacji jest zbyt apatyczna i wcale jej na tym nie zależy. Najbardziej zaś nienawidził tego, do czego zmuszał swoich żołnierzy.

W takim stanie ducha Dermod sam już nie wiedział, czy szuka wsparcia, czy raczej chłopca do bicia, kiedy piątego dnia Strażnik zdecydował się podjąć rozmowę niemal w tym samym miejscu, w którym ją urwał. Powiedział spokojnie:

— Musi pan wiedzieć, pułkowniku, że my, Strażnicy, dużo podróżujemy. Z naszego, może osobliwego punktu widzenia, wszystkie inteligentne istoty są sobie równe, toteż śmierć tak wielu Kelgian boli mnie tak samo, lub uczciwie mówiąc, niemal tak samo, jak masakra podobnej liczby Ziemian. Dlaczego uznał pan za konieczne, żeby ich zabić, czy ma pan zamiar powtórnie tak postąpić i jak pan może po tym wszystkim spokojnie spać?

— Odpowiadając od końca: nie pańska sprawa — odparł Dermod ze znużeniem. — Jeśli chodzi o drugie pytanie, to mam zamiar zaatakować nieprzyjaciela ponownie i to nie raz. Wreszcie: nie musiało się ich wszystkich zabijać, ale tak było najbezpieczniej. A poza tym nie mogłem już powstrzymać…

— Wiem, wiem — przerwał mu Strażnik. — Słyszałem, co się stało z samochodem, z panem i z Davisem. Czy nie mógł pan jednak wydać rozkazu, żeby brać jeńców zamiast wymordować dwieście pięćdziesiąt…

— Nie mogłem! — warknął Dermod ze złością. — Niech się pan choć na chwilę postawi w mojej sytuacji. Gdybym zorganizowawszy zasadzkę na tę kolumnę zarządził, że nie wszyscy mają zostać zabici, ale tylko ci, którzy stawią opór, reszta zaś, zdemoralizowani lub przestraszeni mają być wzięci do niewoli — a niech pan pamięta, że zabroniliście nam posługiwać się automatycznym tłumaczem lub choćby komunikować się przez radio — wprowadziłbym do akcji

element wyboru, co zawsze powoduje zamieszanie. Niektóre brane do niewoli pełzacze nie rozumiałyby, co się dzieje, i wpadłyby w panikę lub nawet próbowały podjąć walkę raniąc i zabijając wielu moich ludzi. Nie mogę na to pozwolić — zakończył Dermod posępnie — bo przy pierwszej większej liczbie ofiar od razu wzięliby nogi za pas. Jedyny sposób, aby zrobić z nich żołnierzy, to nauczyć ich walczyć z pełnym poczuciem bezpieczeństwa. A to, niestety, oznacza niebranie jeńców.

— Niewątpliwie ma pan swoje problemy — powiedział Strażnik tonem przesyconym ironicznym współczuciem. Przez parę minut siedział w milczeniu; samochód trząsł się i podskakiwał przemierzając wyschnięte koryto rzeczne, po czym wjechał w zarośla. Wtem Strażnik spytał: — Czy zdaje pan sobie sprawę z tego, co pan robi?

Dermod westchnął. Odparł ze znużeniem:

— Tak. Uczę i zachęcam ludzi, którym brak głębszych zasad moralnych, jak odwaga, samodyscyplina, bezinteresowność, własny kodeks etyczny, żeby polubili zabijanie. A jak pan sam wie, to właśnie z tchórzy, słabeuszy i bufonów rodzą się w sprzyjających okolicznościach najbardziej okrutni i sadystyczni mordercy. Co było widać podczas zasadzki…

— Musi pan być z siebie naprawdę dumny — rzekł Strażnik oschle że udało się panu tyle osiągnąć.

Dermod patrzył na niego przez chwilę nie spuszczając wzroku, a potem spytał:

— A jak pan myśli?

Strażnik zmarszczył brwi.

— Jeszcze parę minut temu powiedziałbym, że tak, że jest pan dumny. Teraz nie jestem pewien, co myśleć… — Pogrążył się w milczeniu i już go nie przerwał przez resztę popołudnia.

Rozdział 7

Dwa dni później armia Dermoda trawersowała zbocze wznoszące się u stóp pierścienia gór otaczających bazę pełzaczy — miał on w planie już nazajutrz doprowadzić do starcia z siłami wroga i wyeliminować znaczną ich część. Był teraz zmuszony kierować całą operacją z ziemi, bo teren nie nadawał się do lądowania. Dowling i Briggs zrzucali mu meldunki z samolotów w drodze powrotnej na położone o kilka mil dalej lądowisko. Dla zaoszczędzenia paliwa Dermod nie pozwalał im już po każdym locie wracać do bazy, toteż jedyny kontakt z generałem miał przez transportery dostawcze, czyli z dwudniowym opóźnieniem w każdą stronę. Nie miało to jednak większego znaczenia, gdyż Prentiss wciąż denerwował się zuchwałym zaaresztowaniem jednego z wszechwładnych Strażników i w niczym nie był mu pomocny.

Nadal nie było nic wiadomo o Cliftonie.

Kiedy wstawali po obiedzie, Dermod powiedział:

— Gdyby zdradził mi pan, co daliście pełzaczom, żeby zrównoważyć nasze trzy samoloty, mógłbym może odpowiednio zmienić strategię i uratować niejedno życie.

— Ludziom czy Kelgianom? — spytał Strażnik urągliwie.

— Ludziom oczywiście.

Strażnik potrząsnął głową. Ruchem ręki wskazał na maszerujących w takt muzyki żołnierzy. Każdy audiomistrz odtwarzał ten sam utwór nie porywające, wesołe i lekkie marsze z okresu ćwiczeń, ale wolniejszy temat harmonijnie łączący motyw stłumionych werbli z dźwiękiem dalekich trąbek, co Dermod nazywał muzyką z przedednia walki. Bojowo umundurowani mężczyźni o zaczernionych twarzach byli obwieszeni granatami i karabinami — niektóre z nich, zdobyte podczas zasadzki, miały niezgrabne, skręcone kolby, dostosowane do budowy pełzaczy a każdy ruch świadczył o wielkiej pewności siebie, a nawet chęci do walki.

— Niech pan na nich spojrzy — rzekł Strażnik — jeden w drugiego sami bohaterzy! A może raczej należałoby powiedzieć histerycy, bezmyślne indywidua, ogarnięte wizją własnego szaleństwa. Parę malowniczych, krwawych ofiar może przywrócić im poczucie rzeczywistości. Dlatego nie powiem panu, jaką niespodziankę mają dla was w zanadrzu Kelgianie, ani jak blisko był pan raz jej odkrycia. Liczę na to, że kiedy histeryczny heroizm napotka desperacką odwagę istot przypartych do muru, a do tego dojdzie jeszcze ten nieznany element zagrożenia, o którym mówimy, wojna szybko się skończy.

— Liczy pan na bardzo wiele — powiedział Dermod ze złością.

— Liczę na cud — odrzekł Strażnik posępnie.

— Niech pan posłucha — zniecierpliwił się Dermod — opowiem panu dokładnie, jaki mam plan na jutro, żeby nie rozczarował się pan zbytnio, kiedy cud nie nastąpi… — I opisał mu długą stromą dolinę, oddaloną jeszcze o jakieś piętnaście mil i biegnącą z północy na południe. Powietrzne obserwacje wykazały, że znajdują się w niej obecnie trzy grupy ćwiczebne pełzaczy, dwie małe i jedna całkiem spora, razem około dziewięciuset osobników. Górzysta okolica pozwoli mu niepostrzeżenie doprowadzić swoje siły całkiem blisko, ale żeby dodatkowo się zabezpieczyć i zapewnić sobie element zaskoczenia, późnym popołudniem da ludziom odpoczynek aż do wieczora i każe im zajmować pozycje w nocy.

Żołnierze z Pierwszego i Trzeciego Batalionu zajmą pozycję na północnym krańcu doliny i o świcie zaczną się posuwać w głąb. Pierwsza grupa pełzaczy, na jaką się natkną, składa się tylko z dwustu przeciwników i jeśli nie zmiotą jej z powierzchni ziemi, to pozostali przy życiu wycofają się pędem do drugiej grupy, też nielicznej. Niedobitki obu tych grupek, uciekając w popłochu, wpadną na tę trzecią, największą, i najprawdopodobniej zarażą ją paniką. W rezultacie powinien nastąpić masowy odwrót ku południowemu ujściu doliny, gdzie pomiędzy skałami i w krzyżujących się rozpadlinach będzie już na nich czekał Drugi Batalion.

A dla wszelkiej pewności wysoko na granicach rozlokuje się w pewnych odstępach wzdłuż całej doliny oddziały Czwartego Batalionu, które będą strzelały z zasadzki do uciekinierów i rzucały granatami do tych, co zechcą wydostać się górą w kilku miejscach, gdzie to jest możliwe. Czwarty Batalion ma się również zająć ewentualnymi wartami, jakie nieprzyjaciel mógł wystawić nad doliną, choć Dermod był zdania, iż nic tu nie będą mieli do roboty, jako że pełzacze nie spodziewają się kontaktu z wrogiem jeszcze przez parę tygodni.

— Jedynie trzecia i największa grupa może zechcieć stawiać nam opór — zakończył Dermod. — Ale nie sądzę, zwłaszcza, że Dowling rozpoznał ich jako tych, którzy podczas ćwiczeń z bronią podpalili poligon! Nie powinniśmy mieć kłopotów z tak głupią i nieuważną bandą.

— Zapewne — odparł Strażnik.

Dermod spojrzał ostro na psychologa. Ton jego odpowiedzi był zupełnie suchy i beznamiętny, a twarz pozostała bez wyrazu. Czyżby Dermod powiedział coś ważnego i teraz Strażnik stara się to przed nim ukryć? Czy też demonstruje taką reakcję na pokaz, żeby odebrać mu pewność siebie i skłonić do zmiany decyzji? Najpewniej to ostatnie, zdecydował.

— Oczywiście nie wszyscy zostaną zabici — podjął wątek rozmyślnie godząc w słaby punkt Strażnika. — Mam nadzieję, że kilku

ucieknie siejąc panikę i zniechęcenie wśród pozostałych pełzaczy i tym samym ułatwiając nam następne bitwy.

Strażnik przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, a potem powiedział poważnie:

— Kelgia to wysoce cywilizowana, kulturalna, zaawansowana naukowo i technicznie planeta, z której dziewięćdziesiąt siedem procent populacji to Obywatele Galaktyki. Ci, z którymi walczycie, to oczywiście tylko kelgiańskie odpowiedniki was samych, ale i oni czują i myślą podobnie jak wy. Na przykład ich system małżeński i stosunki rodzinne są dokładnie takie same, co gdy się pan bliżej zastanowi, pokazuje, jak niewiele się między sobą różnimy. Czy nie spędza panu snu z oczu myśl o odebraniu życia tylu inteligentnym istotom?

Dermod rzekł krótko:

— Wojna to nie zabawa.

— A więc przyznaje pan to wreszcie? — rzucił sarkastycznie Strażnik i wtem wypalił: — Ale czy zawsze pan tak myślał? Czy może wyobrażał pan sobie, że wojna to romantyczna, podniecająca przygoda? Dermod nie odpowiedział.

— Jest pan niepospolitym i utalentowanym człowiekiem, pułkowniku Dermod — ciągnął z namysłem Strażnik. — Prawdę mówiąc, można by pomyśleć, że nie jest pan tym, za kogo się pan podaje, że w jakiś sposób udało się panu podszyć pod nazwisko prawdziwego Dermoda…

Dermod bezwiednie wrócił myślami do miejsca i chwili, w której odrzutowiec pasażerski, straciwszy nośność na skutek wybuchu w jednym z silników, spadał koziołkując prosto do morza. W fotelu obok siedział drobny, nieśmiały młodzieniec nazwiskiem Jonathan Dermod, który interesująco i żarliwie opowiadał o swoim wstąpieniu do szkoły oficerskiej. Młody człowiek zginął podczas wodowania i z jakieś przyczyny może chcąc zawiadomić najbliższą rodzinę — zdjął mu wtedy plakietkę identyfikacyjną. Ale kiedy się okazało, że nie miał on żadnej rodziny, a nikt z ocalałych nie znał go poprzednio, przywłaszczył sobie osobowość Dermoda razem z jego plakietką. Teraz czuł, jak tężeje na myśl, że Strażnik był tak blisko odkrycia jego sekretu.

Zaraz jednak uznał, że i tak nie robi to większej różnicy. Zabrnął już za daleko.

— Widzę, że miałem rację — powiedział Strażnik, który uważnie go obserwował. — Pańskie talenty wskazują na to, że był pan kiedyś zdolnym, choć leniwym studentem przygotowującym się do otrzymania Obywatelstwa Galaktyki, lecz znudziły pana takie suche i trudne wykłady jak historia innych światów, socjologia i etyka, podobnie jak i te wszystkie inne przedmioty, które trzeba opanować,

aby zrozumieć obcych i czasem wizualnie odrażających współmieszkańców naszego wszechświata, i nauczyć się z nimi współżyć. Wobec tego poszukał pan ucieczki w zgłębianiu historii Ziemi. Będąc studentem miał pan dostęp do kronik i książek niedozwolonych innym jako niebezpieczne, ale zamiast ocenić je właściwie, zaczął pan nimi żyć, snuć oparte na nich marzenia i tak dalej. U zwykłego kolonisty taka lekka dewiacja nie miałaby znaczenia — ciągnął psycholog. — Ale pan był niedoszłym Obywatelem Galaktyki, który na zajęciach z psychologii i socjologii posiadł bardzo niebezpieczną wiedzę i umiejętność sterowania tłumem. Jak sądzę, mieszkańcy kolonii obudzili w panu romantyczne uczucia, podobnie jak rzeczywiste i zmyślone fakty z przeszłości, a już wstąpienie do ich armii było krańcową głupotą.

Ale teraz, kiedy przekonał się pan, że zabijanie cywilizowanych istot nie jest ani podniecające, ani romantyczne, dlaczego nie chce pan okazać odrobiny rozsądku czy może raczej człowieczeństwa i nie odwoła pan tego wszystkiego?

Przez chwilę Dermod czuł, że zaczyna się wahać. Zadał sobie pytanie, czemu miałby się narażać na fizyczne niebezpieczeństwo i coraz większe psychiczne udręki, starając się za wszelką cenę uratować Plan? Zwłaszcza że generał dostał pietra i wyglądało na to, iż sam chętnie by się wycofał. Z wywodów Strażnika jasno wynikało, że odwołanie wszystkiego byłoby jedynie słusznym i logicznym krokiem. Ale zaraz przypomniał sobie, że przecież mówi to Strażnik, a wiadomo, że Strażnicy potrafią wmówić każdemu cokolwiek zechcą.

— Traci pan tylko czas — powiedział Dermod. Wychylił się z auta i wydał rozkaz zatrzymania kolumny. Kiedy powoli przejeżdżali wzdłuż niej z powrotem, megafony audiomistrzów milkły jeden po drugim, a ciszę wypełniły odgłosy szurających nóg i prowadzonych półgłosem rozmów żołnierzy zbierających się wokół transporterów. W tej ciszy głos Strażnika zabrzmiał nienaturalnie głośno.

— Ale dlaczego?…

— Ponieważ wszystko, co pan mówi, uważam za bez znaczenia odparł Dermod spokojnie. — Jest pan hipokrytą, cała Straż to nic innego tylko banda hipokrytów, wyniosłych tyranów, którzy…

— Tyranów! — wybuchł Strażnik. — Ależ jesteś wolny, człowieku! Ludzie mają teraz większą wolność niż kiedykolwiek w historii. Mogą robić, co tylko zechcą. Jeżeli ktoś ma ochotę szybkim truchtem udać się do piekła, to proszę bardzo, dostarczymy mu nawet konia, ale pod warunkiem, że nie będzie ciągnął tam ze sobą nikogo wbrew jego woli. Tego nie tolerujemy…

— A co się dzieje, kiedy chcemy walczyć? — zapytał Dermod cierpko. — Inspekcja nieprzyjaciela dopuszcza do walki tylko

najsłabszych. Psycholodzy Straży niszczą potem do reszty ich morale i wszystko obraca się w zwykłą farsę, w której zostajemy wystawieni na pośmiewisko. Pan to nazywa wolnością?

— Musi pan jednak przyznać, że skrupulatnie przestrzegamy reguł gry — zaznaczył szybko Strażnik. — Poza tym, skoro już nie da się wojen uniknąć, przyświeca nam w nich podwójny cel: dopilnować, aby jak najmniej ludzi zginęło, i strachem lub perswazją nauczyć żołnierzy rozumu. Nic tak nie przywraca zdrowego rozsądku i poczucia rzeczywistych wartości jak groźba śmierci, zwłaszcza w przypadku chwiejnych, ulegających wpływom jednostek, które do tego stopnia dały się omamić czyimś poczuciem krzywdy albo zranionej dumy, że chcą jakoby toczyć o to wojnę. Przy czym zwykle ten, którego duma tak ucierpiała, nie wyrusza jakoś na front, kiedy zaczynają się działania wojenne…

Dermod zniecierpliwiony uciszył go ruchem ręki. Powiedział:

— My i nam podobni przedstawiciele innych gatunków na innych planetach to prześladowana mniejszość, którą chcecie wytępić, bo jesteśmy dumni, uparci i niezależni, co stanowi źródło waszej nieustannej irytacji…

— Myli się pan głęboko! — przerwał mu gwałtownie Strażnik. Każdy z was może zostać Obywatelem Galaktyki, pod warunkiem, że skończy studia i potrafi bez konfliktów współżyć z istotami pozaziemskimi.

— Większość z nas uważa, że niewarta skórka za wyprawkę — uciął sucho Dermod, wprawiając rozmówcę w konsternację, co go bardzo ucieszyło. Chcąc zakończyć dyskusję wyskoczył z samochodu i ruszył szybko z powrotem w kierunku środka kolumny. Nic nie wskórał. Strażnik deptał mu po piętach i nie dawał za wygraną, choć z trudem łapał oddech starając się jednocześnie mówić i dotrzymać mu kroku. Dermod musiał przyznać, że co jak co, ale facet łatwo nie rezygnuje…

— Duża część Galaktyków zamieszkujących Ziemię rzeczywiście się degeneruje — przyznał Strażnik otwarcie — lecz to dlatego, że najbardziej wartościowi ziemscy Obywatele Galaktyki już w młodości opuszczają naszą planetę, a pozostali deklasują się z pokolenia na pokolenie drogą małżeństw w obrębie tej samej grupy. Ale przynajmniej nie trzeba ich nieustannie pilnować, żeby nie narobili kłopotów i można pośród nich znaleźć paru największych myślicieli Galaktyki. Jednakże większość Obywateli — tłumaczył dalej — nie tylko na Ziemi, ale w całej Galaktyce, czuje niechęć do podejmowania nieprzyjemnych z konieczności działań związanych z przestrzeganiem prawa; są tak wrażliwi, inteligentni i nastawieni pacyfistycznie, że myśl o wzięciu udziału w jakiejś akcji, choćby policyjnej, jest im

wstrętna. Niemniej niektóre jednostki pojedynczo czy nawet zbiorowo schodzą czasem na złą drogę i trzeba podjąć kroki prewencyjne, żeby utrzymać ład i porządek. Dlatego właśnie Straż…

W tym momencie Dermod stanął, żeby zamienić parę słów z dowódcą audiokompanii na temat muzyki, jaka ma nazajutrz przygrywać do walki. Porucznik o szczupłej twarzy, gorliwy i bardzo przejęty, był zwolennikiem tematu Marsa z suity Holsta „Planety", ale Dermod się nie zgodził, chciał coś głośniejszego, mniej subtelnego i z mocną perkusją. Pierwszy Audiomistrz zaproponował „Rok 1812" Czajkowskiego. Dermod odparł, że to już lepsze, ale dzwony katedralne byłyby trochę nie na miejscu. Czy mają coś Wagnera?

Strażnik korzystał z każdej okazji, żeby wtrącić swoje, a kiedy Dermod poszedł dalej dowcipkując z leżącymi w cieniu żołnierzami i rzucając im słowa zachęty, jego więzień ruszył za nim kontynuując swój wywód. A wszystko, co mówił, było tak logiczne, tak przekonujące, tak przeraźliwie słuszne!

Obecną wojnę wywołała tak zwana misja handlowa złożona z Ziemian nie mających obywatelstwa Galaktyki. W zasadzie przyznał Strażnik, tylko Galaktycy powinni mieć prawo stykać się z przedstawicielami innych kultur, ale zakazanie podróży międzyplanetarnych kolonistom, których na to stać, byłoby pogwałceniem naczelnej zasady Straży przyznającej każdej jednostce maksimum wolności. Toteż pozwolono misji handlowej jechać na Kelgię. Kelgiańscy Galaktycy nie chcieli naturalnie mieć z nimi nic wspólnego. Uważali, i słusznie, że koloniści są z reguły chciwi i brak im kupieckiej etyki. Wobec tego Ziemianie byli zmuszeni handlować ze swoimi kelgiańskimi odpowiednikami podobnymi im samym. Szereg nieporozumień wynikłych po prostu z niewiedzy, wymiana ostrych słów i pewna ilość obustronnych machlojek doprowadziły do bójki, w której zginęło dwóch ludzi i przynajmniej tyluż Kelgian, a wielu innych uczestników zostało rannych. Po tym wypadku rozgorzały takie namiętności, że obie strony zażądały wojny jako jedynego satysfakcjonującego je rozwiązania. Straż spełniła ich życzenie niechętnie, powiedział psycholog poważnie, bo tak wysoko ceni życie.

Według niego Straż to grono pełnych poświęcenia ludzi, bez których rozpadłaby się obecna cywilizacja galaktyczna. Tworzą ją wyłącznie ludzie, ponieważ jedynie ten gatunek ma w sobie pewną wewnętrzną twardość, która pozwala im robić rzeczy nieprzyjemne, a nawet złe w imię wyższego dobra. Niektóre ich posunięcia osobom niezorientowanym mogą wydawać się brutalne, ale przecież…

Nagle Dermod poczuł, że nie zniesie tego dłużej.

— Sierżancie! — zawołał gwałtownie, a siedzący w pobliżu podoficer zerwał się na równe nogi i szybko podszedł. — Trzymajcie

tego człowieka pod strażą — powiedział, wskazując na psychologa — i pod żadnym pozorem nie pozwólcie mu mówić. Gdyby nie chciał milczeć, zastrzelcie go.

Kiedy odprowadzano Strażnika, Dermod uświadomił sobie ze zdumieniem, że trzęsie się z gniewu i wydał ten rozkaz całkiem poważnie. Poszukał cienistego miejsca, żeby odpocząć do zmierzchu, ale nie mógł zasnąć. Za każdym razem kiedy wyrzucił z myśli tysiące szczegółów związanych z nadchodzącą bitwą i zamykał oczy, widział skłębione, sflaczałe ciała dwustu pięćdziesięciu trzech Kelgian i zastanawiał się, co by czuł, gdyby to byli ludzie. Myślał o pięknym i prostym przedsięwzięciu, jakim był Wielki Plan. Przypuśćmy, że mu się powiedzie i wygra wojnę, a wówczas generał znów obejmie dowództwo. Jaki bałagan i bezhołowie zaprowadzi wtedy ta słaba, chwiejna, stara baba?

Przez cały czas uparcie dźwięczał mu w głowie głos tego przeklętego Strażnika. Kłócił się, przekonywał, nalegał. Ale tym razem Dermod nie mógł go uciszyć.

Rozdział 8

Następnego ranka przed świtem Dermod ze swoim Drugim Batalionem zablokował wylot doliny i zapewne pozostałe oddziały też już zdążyły zająć swoje pozycje. Nieco w przodzie, bezpiecznie ukryte w najlepszych kryjówkach, znajdowały się cztery plutony specjalne, złożone z ludzi, którzy okazali największą zręczność w posługiwaniu się bronią zabraną wrogowi i Dermod miał nadzieję, że ich karabiny z amunicją dum-dum będą wystarczającą odpowiedzią na nieznaną broń, którą chowają w zanadrzu Kelgianie. Za plecami Dermoda dolina rozszerzała się w kotlinę o stromych, nieprzystępnych ścianach, po czym zwężała gwałtownie w następną dolinę, niewiele szerszą od parowu.

Dermod ponownie wziął ze sobą Strażnika, który przedstawiał sobą obraz zupełnej rezygnacji. Przez całe trzy godziny nie odezwał się ani słowem. W końcu pierwszy nawiązał rozmowę Dermod, po prostu, żeby zabić czas i nie myśleć za dużo.

— Jeszcze jedno, co mi się w was nie podoba, to wasze zachowanie — powiedział. — Jak na klikę rządzącą Galaktyką jesteście dziwnie rozgoryczeni, zgryźliwi i wiecznie niezadowoleni. Czy nigdy się nie śmiejecie?

Przez chwilę zdawało się, że psycholog odetnie się gniewnie, ale tylko przygarbił się z przygnębieniem. Znużonym głosem odparł:

— Musi pan wiedzieć, że jesteśmy ludźmi bardzo zgorzkniałymi. Chętnie ukrócilibyśmy poczynania tych lub owych i ucięli pewne sprawy, ale nam nie wolno. Niektórych z nas gnębią też wyrzuty sumienia z powodu grzechów przeszłości.

— Wyobrażam sobie — rzekł Dermod.

— Nie, nie wyobraża pan sobie — uciął Strażnik i na tym rozmowa się skończyła.

W miarę jak dniało, Dermod coraz częściej spoglądał na zegarek nadsłuchując pierwszych odgłosów walki z drugiej strony doliny, gdzie Pierwszy i Trzeci Batalion miały rozpocząć natarcie. Tymczasem zaś dobiegł go warkot samolotu!

Klnąc w żywy kamień Dermod spojrzał z wściekłością w niebo. Dał przecież Briggsowi i Dowlingowi wyraźny rozkaz, żeby trzymali się dzisiaj z daleka od tej okolicy — mieli dla odwrócenia uwagi od doliny skoncentrować swoją obserwację na oddziale pełzaczy pięćdziesiąt mil dalej. A teraz jeden z tych przeklętych głupców zjawia się nagle w najmniej odpowiednim momencie. Raptem warkot samolotu ucichł i Dermod zobaczył, że samolot zniża się ku nim ponad skałami. Ten cymbał zamierza tu lądować!

Wtem Dermod zerwał się na równe nogi i zaczął biec. Dojrzał na

kadłubie znaki rejestracyjne. Był to samolot Cliftona!

Na dnie kotliny był tylko mały kawałek płaskiego terenu usiany większymi i mniejszymi głazami i to, że Clifton jakoś je wymijał, gdy maszyna siadła na ziemi i pędziła przed siebie, zakrawało na cud. Z wypuszczonymi klapami i przy włączonych hamulcach redukujących szybkość, samolot toczył się jeszcze dziko przez dobre pięćdziesiąt jardów, zanim nastąpiła katastrofa. Wystający kamień oderwał jedno koło, samolot obrócił się wokół osi, stracił drugie koło i oba skrzydła, po czym roztrzaskał ogon. Kadłub z silnikiem sunął po ziemi do góry nogami i tyłem, dopóki dzięki sile tarcia wreszcie nie stanął.

Dermod był jeszcze dziesięć jardów od wraka, gdy na czworakach wygrzebał się z niego Clifton.

— Ty cholerny szczęściarzu! Co się stało, na Boga? Czy dotarł pan do bazy Straży? Czy nie jest pan ranny? — Dermod zasypał go potokiem pytań, pomagając porucznikowi wstać i potrząsając nim ze zdenerwowania. — Mów, człowieku!

Zacinając się lekko, wciąż na wpół oszołomiony, Clifton złożył meldunek. Ogołociwszy samolot ze wszystkiego co zbędne, wyładował kabinę pasażerską zapasowymi kanistrami z paliwem, co pozwoliło mu pokonać pięćsetmilową odległość do bazy Straży. Opowiedział tam wszystko dokładnie, jak mu Dermod przykazał, a Strażnicy połknęli haczyk i uwierzyli mu bez zastrzeżeń. Dali mu nawet część swojego sprzętu — radio i translator dla psychologa, który miał rzekomo pozostać w bazie Ziemian — i pochwalili go, że jest taki rozsądny i podziela ich punkt widzenia. Przeciwne wiatry i kłopoty z silnikiem w drodze powrotnej zmusiły go do wylądowania o dwa dni marszu od bazy, potem musiał wrócić tam ciężarówką z częściami zamiennymi i paliwem, stąd całe opóźnienie.

Ale lecąc tutaj zatrzymał się jeszcze raz w bazie po żywność i zupełnym przypadkiem odkrył, że generała wcale tam nie ma! Inni oficerowie wiedzieli o tym, lecz udało im się ukryć jego nieobecność przed żołnierzami, wysyłając nadal Dermodowi rozkazy zostawione w tym celu przez Prentissa. Generał wyjechał tydzień temu — dzień po tym, jak Dermod opuścił bazę. Dlatego właśnie Clifton zaryzykował złamanie karku i wystawienie na szwank planu Dermoda ostrzegając pełzaczy nagłym lądowaniem. Co teraz zrobią?

— A jak wyjechał? — spytał ostro Dermod.

— Jednoosobowym nie uzbrojonym statkiem zwiadowczym — wtrącił Strażnik, który właśnie nadszedł. — Dajemy je w tajemnicy dowódcom obu walczących stron w razie, gdyby się znudzili albo sprawy przyjęły zbyt nieprzyjemny obrót i zechcieli wobec tego wrócić do domu. To normalna procedura, dezercja głównodowodzącego ma zły wpływ na morale żołnierzy, co z kolei wpływa na szybsze zakończenie wojny…

— Z generałem lub bez, wygramy tę wojnę — przerwał Dermod zwracając się do Cliftona. — Ale teraz nie mam nawet czasu podziękować panu za to, co pan zrobił, lada chwila zacznie się tutaj bitwa. Niech pan szybko poszuka sobie jakiejś dobrej kryjówki. — Do Strażnika zaś rzekł zjadliwie: — Pomyśleliście o wszystkim, prawda?

Ewentualną odpowiedź zagłuszył jednak huk ognia karabinowego, który niczym grzmot przetoczył się przez dolinę. Atak się zaczął.

Mimo że odgłosy bitwy dobiegały do niego zwielokrotnione i zniekształcone przez strome ściany doliny, Dermod wyłapywał uchem i analizował charakterystyczne dźwięki poszczególnych broni: krótki, ostry szczęk karabinów Ziemian, wolniejszy wybuch granatu i podwójną detonację broni palnej pełzaczy — jeden huk w chwili wystrzału i zaraz potem drugi przy eksplozji pocisku. Po kilku minutach natężenie ognia znacznie się zmniejszyło, czego Dermod się spodziewał. Nie spodziewał się jednak, że Strażnik wybierze ten właśnie moment dla wznowienia swojej argumentacji.

— Generał wpadł w panikę, kiedy pan mnie aresztował — krzyczał. — Teraz umył od tego ręce i dam głowę, że zwali całą winę na pana! Ma pan jeszcze szansę odwołać całą akcję. Obaj wiemy, że może pan bez trudu pobić Kelgian, po co zabijać ich tysiącami, jedynie, aby to udowodnić? — A kiedy Dermod zdawał się nie zwracać na jego słowa żadnej uwagi, głos psychologa nabrzmiał dziką, bezsilną furią. — Ty krwiożercza bestio… ty rzeźniku… dlaczego?

— Moim celem nie jest bynajmniej masakra Kelgian — powiedział zimno Dermod. — Prawdę mówiąc, mam nadzieję, że wielu z nich zdoła uciec i opowiedzieć, co się tu zdarzyło, toteż kiedy użyję translatora, przysłanego panu przez kolegów, i wezwę ich dowództwo do bezwarunkowej kapitulacji, będą tak przerażeni, że poddadzą się bez wahania. A wygranie tej wojny to tylko krok, aczkolwiek konieczny, do realizacji o wiele większego planu…

Dwie cienkie wstążki dymu uniosły się gdzieś z głębi doliny i rozkwitły barwnym kwieciem: dwie rakiety sygnalizacyjne, pomarańczowa i niebieska. Pomarańczowa po niebieskiej oznaczałaby, że wróg atakuje z niespodziewanej strony, niebieska po pomarańczowej, że ma przewagę liczebną. Ale obie rakiety naraz nie oznaczały nic. Dermod, który znał dokładnie pozycje i liczbę oddziałów kelgiańskich, uznał, że któryś z żołnierzy musiał je wystrzelić po prostu z podniecenia. Niemniej dręczył go niepokój…

— Wygranie tej wojny — ciągnął Dermod z pewnym roztargnieniem — powinno mi wystarczyć. Od setek lat nikt czegoś podobnego nie dokonał i sam fakt, że ludzie zwyciężyli pozaziemskie istoty w wojnie kontrolowanej przez Straż mocno nadszarpnie waszą pozycję. Wszyscy w całej Galaktyce będą przekonani, że Strażnicy,

jako że sami są ludźmi, pomogli Korpusowi Ziemskiemu. W rezultacie podniesie się fala niezadowolenia i buntu, która ostatecznie obali tyranię Straży. Czy może widzi pan jakiś błąd w moim rozumowaniu?

Wyraz twarzy Strażnika wyraźnie wskazywał na to, że nie widzi błędu.

— Trafił pan w nasz słaby punkt — powiedział, a potem dodał, jakby się usprawiedliwiając: — Powinien pan zrozumieć, że jako rządząca mniejszość musieliśmy być rygorystycznie sprawiedliwi. Stawaliśmy na głowie, żeby utrzymać tę reputację, zachowując się czasem może bardziej bezwzględnie niż to było konieczne wobec przedstawicieli własnej rasy…

Strzały słychać było teraz bliżej, a w głębi doliny Dermod dojrzał jakby ślady dymu. Powiedział:

— Kiedy byłem zmuszony pana aresztować, by nie dopuścić do odwołania wojny, myślałem, że cały plan może spalić na panewce. Ale porucznik Clifton poleciał do waszej bazy z historyjką, że negocjuje pan z obiema stronami zawieszenie broni, co stanowi nader delikatne zadanie, które może się nie udać, jeśli ktoś się do niego wtrąci. Dali się nabrać i przekazali panu swoje błogosławieństwo, uważając Cliftona za jednego z tych rozsądniejszych, który postanowił pomóc, lecąc z wieścią o pańskiej misji pokojowej. Kiedy za chwilę poprowadzimy rozbrojone oddziały kelgiańskie do naszej bazy, Kelgianie nabiorą podejrzeń, że nam pomogliście. A już będą tego pewni, gdy zobaczą pana u mego boku w wozie dowódcy. Naturalnie nie będzie pan miał dostępu do translatora, żeby móc wszystko wyjaśnić, a zanim pańscy ludzie w bazie zorientują się, co się stało, nikt im już nie uwierzy.

Dermod odwrócił wzrok od zupełnie pokonanego i bezsilnego Strażnika ku widocznym w oddali falującym kształtom nieprzyjaciela, który dążąc do szybkiej zguby zaczął się właśnie wyłaniać z kłębów dymu. Oto nadeszła godzina chwały — zwycięski koniec największej w dziejach krucjaty nastąpi już za kilka minut. Ale Dermod czuł tylko złość, niecierpliwość, niezadowolenie i dręczące wątpliwości. Z całej duszy pragnął mieć to już za sobą i znaleźć się w domu. Ale czy rzeczywiście? Czym zajmie myśli po skończeniu wojny, żeby nie zastanawiać się wciąż nad konsekwencjami tego, co zrobił?

Rozdział 9

Rakiety sygnalizacyjne strzelały w niebo i wybuchały, brudząc czysty błękit pomarańczowymi, zielonymi i żółtymi smugami dymu. Było ich siedem, ich wzór i kolejność nic nie znaczyła, a za nimi w chaotycznym porządku pokazało się jeszcze pięć. Wyszarpując z futerału lornetkę polową Dermod z wściekłością zastanawiał się, czy jego ludzie pilnujący zboczy doliny postanowili urządzić sobie fajerwerki!

A może, tknęło go nagle złe przeczucie, te idiotyczne sygnały są oznaką paniki?

Ale przez lornetkę widział tylko nieprzerwany strumień pełzaczy na zakręcie daleko w dolinie, a za nimi coraz gęstsze kłęby dymu. Przez odgłos strzałów słyszał muzykę audiokompanii i wiedział, że Pierwszy i Trzeci Batalion posuwają się według planu w głąb doliny; goniąc dwie mniejsze grupki wroga, które uciekły do trzeciej, największej, i są teraz razem w odwrocie. Nic nie wskazywało na powód do niepokoju.

Nagle Dermod wstrzymał oddech. Gdzieś spośród falującej masy pełzaczy wystrzelił w górę słup ognia, musnął krawędź doliny i zsunął się po zboczu, zostawiając po sobie pas płonącej roślinności i kłęby oleistego dymu.

Miotacze ognia!

W chwili kiedy rozpoznał tajną broń pełzaczy, Dermod bezzwłocznie rzucił się do swoich plutonów specjalnych, choć wszystko w nim krzyczało, żeby biec w odwrotną stronę. Tym trzem plutonom, wyposażonym w karabiny wroga, musiał powiedzieć prawdę, musiał posłużyć radą i otuchą udając, że nie widzi zastygłych postaci i nagle pobladłych twarzy. Wróg ma miotacze ognia, powiedział im, broń o krótkim zasięgu, o wiele mniej groźną niż na to wygląda. Pociski rozrywające mają zasięg większy, toteż żołnierze z plutonów specjalnych muszą skoncentrować cały ogień na osobnikach uzbrojonych w miotacze ognia — poznają ich po zbiornikach na grzbiecie — a resztę pełzaczy zostawić swoim kolegom ze zwykłymi karabinami. Kiedy Dermod wrócił na swoją pozycję, kule pełzaczy rozrywały już ziemię w pobliżu. Krzyknął:

— Nie strzelajcie jeszcze! Poczekajcie, aż będą bliżej! — A do Strażnika rzucił z wściekłością: — Daliście im miotacze ognia, a pan jeszcze śmie mówić, że to ja jestem nieludzki!

Nie słuchał odpowiedzi, był tak obłędnie, śmiertelnie przerażony, że wydawało mu się to niewiarygodne, by istota ludzka mogła aż tak się bać. A pod tym strachem czaił się jeszcze inny strach: okropny, dławiący, tajemny lęk, że to, co robi, jest złe, zbrodnicze i obłąkane.

Gdyby dało się jakoś stąd wydostać i jeszcze raz to wszystko przemyśleć. Ale zbocza kotliny były zbyt strome, żeby je bez trudu pokonać, a jedyna pozostała droga odwrotu wiodła przez wąwóz, za wąski na szybką, masową ewakuację; tak czy owak straciłby część swoich ludzi, gdyż pełzacze, ujrzawszy Ziemian w odwrocie, zbiorą siły i przystąpią do ataku. Dermod zaklął cicho, lecz zaraz przypomniał sobie, że to przecież jego żołnierze ścigają w tej chwili wroga, że inicjatywa nadal należy do niego.

— I dlatego wcale nie jesteśmy nieludzcy — dotarł do niego wreszcie pełen protestu głos Strażnika. — Ten sprzęt nie jest łatwy w obsłudze, a wy mieliście samoloty obserwacyjne. Sądziliśmy, że Kelgianie nie zechcą go używać w obawie, że zbiorniki mogą wybuchnąć, a wy z kolei, dowiedziawszy się o istnieniu miotaczy, nie będziecie mieli ochoty zetknąć się z nimi twarzą w twarz. Nawet bohater nie lubi spotkania z miotaczem ognia. Ale wszystko ułożyło się inaczej: wasz pilot wypatrzył miotacz w akcji i przedstawił to w meldunku jako przypadkowy pożar na poligonie, a Kelgianie, czy to ze strachu, czy dlatego że wiedzieli, iż są obserwowani, przestali ich używać. Teraz jednak są doprowadzeni do ostateczności.

Dermod potrząsnął gwałtownie głową, jakby przez sam ten ruch mógł mu przyjść na myśl jakiś pomysł. Wróg był już w zasięgu ognia, ale osłaniał go dym, który buchał z głębi doliny. Dermod oblizał wargi. Pełzacze pchały się na oślep w jego pułapkę, siły, które tak precyzyjnie puścił w ruch, wymykały mu się teraz spod kontroli, co było niepokojące. W swoich kalkulacjach nie wziął pod uwagę desperacji, jaką niesie ból, strach i śmierć, ani późniejszych konsekwencji, ani w ogóle nic oprócz głupiej, dziecinnej chęci zabawienia się w żołnierza. Potrzebował teraz czasu, a czasu już nie było. Ale musi coś zrobić, musi przynajmniej postarać się coś zrobić.

Lecz gdy otworzył usta, wydobył się z nich tylko niezrozumiały skrzek, zagłuszony przez strzały. Dermod przełknął ślinę i zmów spróbował:

— Uwaga, żołnierze! Nie strze…

Zagłuszył go długi grzmot pierwszej salwy. Napięci do granic wytrzymałości żołnierze, którym w uszach dudniły strzały z głębi doliny, nie dosłyszeli i nie zrozumieli jego rozkazu. Jednocześnie audiokompania puściła na cały głos „Jazdę Walkirii” i rozpoczęła się bezładna strzelanina. Dermod wybrał tę muzykę z trzech powodów: był to porywający kawałek, odgłosy strzałów nie będą brzmieć tak deprymująco, jeśli żołnierze wezmą je za głośne walenie w perkusję, a krzyki rannych — bardzo demoralizujący dźwięk, jak gdzieś czytał — zostaną zagłuszone. Bardzo się obawiał, że tym razem będzie wielu rannych.

Strzały Drugiego Batalionu zbierały obfite żniwo: wąskie dno doliny było już usłane żołnierzami wroga, ale pełzacze nadal parły do przodu, wciskając się między ciała i wdrapując na towarzyszy leżących na ziemi, aż same stawały się podobną przeszkodą dla tylnych szeregów. Pomimo niszczycielskiego ognia jego żołnierzy i makabrycznego spiętrzenia ciał u wylotu doliny pełzacze nadal nadciągały, uciekając w panice przed nacierającymi Pierwszym i Trzecim batalionem. Ludzie z Drugiego, rozciągnięci wzdłuż wylotu doliny, nie nadążali z ich zabijaniem. Obok niego Strażnik wymiotował.

Dermod potrząsnął go dziko za ramię.

— Musimy z tym skończyć! — wrzasnął poprzez wrzawę. — Niech mi pan pomoże, w samolocie Cliftona jest translator…

W tym momencie oczy Dermoda zatrzymały się na pełzaczu, który z tym większym trudem przeciskał się przez ciała poległych, że ruchy krępował mu ciężki zbiornik przyczepiony do grzbietu, a w przednich szczękoczułkach ściskał długą rurę zakończoną dyszą. Nagle z dyszy buchnął ogień podpalając krzaki w pobliżu kryjówki jednego z plutonów specjalnych Dermoda. Kanonada gwałtownie przycichła, bo przez chwilę nie było nic widać. Dermod krzyknął do żołnierzy z plutonu specjalnego, żeby nie ruszali się z miejsc, ale jego struny głosowe nie stanowiły konkurencji dla Wagnera, poza tym i tak pewnie by go nie posłuchali.

Zobaczył, że podnoszą się i biegną w kierunku głównych sił, na jego oczach pochłonął ich jęzor płynnego piekła i z nieopisaną grozą obserwował, jak jeden z nich jako żywa pochodnia zrobił jeszcze parę kroków, zanim upadł na płonącą ziemię. Jego krzyk, niestety, przebił się wyraźnie przez muzykę Wagnera.

Popychane z tyłu pełzacze wyłaniały się z zasłony dymnej, przetaczały przez środek linii Drugiego batalionu i sunęły w kierunku wąwozu po drugiej stronie kotliny. Dermod nie mógł zrobić nic, aby je powstrzymać. Teraz już nawet nie chciał ich powstrzymywać, bo poza wszystkim innym praktycznie przestał panować nad swoimi ludźmi, którzy raptem przekształcili się w niesforną hałastrę, sami bliscy paniki.

— Do wraka samolotu, — szybko! — krzyknął Dermod, szarpiąc Strażnika. — niech pan mi pomoże wydobyć translator! — Nie patrzył mu przy tym w twarz, całą uwagę skupił na szukaniu wśród kłębów dymu miejsca, w którym wylądował Clifton. Nagle je dojrzał.

Przez ten czas czoło kolumny pełzaczy zdążyło już znaleźć się u wejścia wąwozu. Ich specjalista od miotania ognia, który utorował im drogę, był w samym środku, kiedy celny strzał jednego z żołnierzy plutonów specjalnych trafił w jego zbiornik paliwa. Zbiornik wybuchł

z hukiem i płynny ogień zalał wszystko w promieniu pięćdziesięciu jardów, zapalając dwa dalsze zbiorniki, niesione przez innych Kelgian, i spopielając pełzaczy na równi z ludźmi w morzu ognia.

Pośrodku tego znajdował się samolot Cliftona.

Wylot wąwozu stał się nagle szalejącym, nieprzebytym piekłem. Pełzacze jednak nadal nadciągały, zatrzymywały się niepewnie przed swoją wymarzoną drogą ucieczki, po czym rozdzielały się i próbowały wspiąć na zbocza kotliny. Ale ich budowa uniemożliwiała im wspinaczkę, toteż raz za razem odpadały od ściany i kotlina szybko wypełniła się nowymi ciałami pełzaczy.

Wtedy nadciągnęły szarżując z impetem tryumfujące bataliony Pierwszy i Trzeci. Aż do tej chwili wszystko szło im jak po maśle, żaden pełzacz nie przerwał ucieczki, żeby skierować na nich strumień ognia, choć oczywiście mijali duże połacie spalonej ziemi. Wkrótce przekonali się, co było tego przyczyną, ale podobnie jak przedtem pełzacze, nie mogli już zawrócić wskutek naporu własnych tylnych szeregów. Kotlina szybko zamieniała się w krwawą jatkę, pełzacze cofały się myśląc, że mają do czynienia z lokalnym atakiem ludzi i wpadały na innych Ziemian, którzy uciekali w przekonaniu, że to oni są atakowani. Nieznośny żar i oleisty czarno-żółty dym wypełniały kotlinę. Dermod patrzył, jak jego ludzie przyklękali i strzelali do wszystkiego, co się rusza, ledwo widząc przez załzawione oczy i zanosząc się kaszlem w trujących oparach. Może co drugi raz udawało im się odgadnąć właściwie i trafić pełzacza, a nie jednego ze swoich. A ponad gwarem bitwy, choć słabiej już teraz, kiedy tylu audiomistrzów zginęło w wąwozie, ciągle rozbrzmiewały dźwięki „Walkirii".

Dermod myślał gorączkowo, że musi jakoś zapanować nad sytuacją, zanim wszyscy wokół pozabijają się nawzajem. Translator został wprawdzie zniszczony w ogniu, ale gdyby udało mu się skłonić do posłuchu własnych żołnierzy, to już byłoby coś. Musi tylko uciszyć tę straszną muzykę!

Działał jeszcze chyba tylko jeden nagłaśniacz, sądząc po echu niosącym się od zbocza do zbocza, i to gdzieś blisko. Wraz ze Strażnikiem rozpoczął gwałtowne poszukiwania, kaszląc i krztusząc się, depcząc po płonącej roślinności, czołgając się po ziemi i gasząc rękami tlący się mundur. Kule świszczały wokół i ryły ziemię pod stopami. Kiedy dotarł do skulonej, trzęsącej się postaci z nagłaśniaczem na plecach, chciało mu się płakać z radości.

Gwałtownie zatrzymał taśmę i przestawił przekaźnik na mowę na żywo.

– Żołnierze, mówi pułkownik Dermod… — zachrypiał i jego charczący, zniekształcony głos zadudnił nad kotliną. Ale nie zdążył

powiedzieć nic więcej, bo w tym momencie jakiś zabłąkany pocisk roztrzaskał skrzynkę nagłaśniacza.

— Pańskie nawrócenie jest nieco spóźnione — krzyknął Strażnik. Lewa ręka zwisała mu bezwładnie w rękawie munduru, z którego zostały krwawe strzępy, twarz miał kredowobiałą z grozy, szoku i bólu. Dermod nie śmiał spojrzeć mu w oczy. — Mam nadzieję, że jest pan zadowolony.

Dermod pochylił głowę.

— Chociaż zrozumiał pan teraz swój błąd — ciągnął Strażnik z wściekłością — co się stało, już się nie odstanie. Ziemianie są twardsi od Kelgian, wyjdą zwycięsko nawet z tej jatki, a Kelgianie się poddadzą. Wygrał pan swoją wojnę, władza Straży wkrótce się skończy i tylko patrzeć, kiedy galaktyczna cywilizacja rozpadnie się na szereg pojedynczych, wrogich sobie światów. Dopiął pan swego, niech Bóg ma pana w swojej opiece. I nas.

Mimo ogromu poczucia winy i obrzydzenia do siebie, Dermod niemal podświadomie spostrzegł, że Strażnik wcale nie mówi tak głośno, a jednak całkiem wyraźnie go słychać. To dziwne, pomyślał, i podniósł głowę.

Strzały w dolinie stopniowo milkły i ledwo zdał sobie sprawę z tego faktu, ucichły zupełnie. Nawet pełzacze przestały strzelać. Poprzez rzednący dym widział osobne grupki ludzi i Kelgian, w których wszyscy jeszcze kurczowo ściskali broń, czujni i napięci, i wszyscy co do jednego wpatrywali się w niebo.

A znad krawędzi kotliny sunęły w dół ogromne czarne cienie, mimo że Słońce stało jeszcze wysoko. Dermod spojrzał na niebo pociemniałe od wielkich transportowców Straży schodzących do lądowania i poczuł tak głęboką ulgę, że nie mógł wyrzec słowa. Tylko jednym uchem słuchał, jak Strażnik z podnieceniem mówi, że generał Prentiss przestraszył się i wygadał wszystko dowództwu Straży na Ziemi, które natychmiast przysłało swoje siły, żeby zapanować nad sytuacją.

— Zapewne zastanawia się pan — zakończył Strażnik — co z panem zrobią, kiedy opowiem im o pańskim spisku?

Dermod potrząsnął z przygnębieniem głową.

— Mam nadzieję, że mnie rozstrzelają — powiedział. I rzeczywiście tak myślał; w stosunku do tego, jak się czuł, byłaby to raczej nagroda niż kara.

— Tak łatwo się pan nie wywinie — powiedział psycholog, a w jego surowym głosie zabrzmiało coś na kształt współczucia. — Wiem dobrze, co się z panem stanie. Straż nie zabija, kiedy może uratować.

Naraz zabrzmiała szybka seria głośnych plaśnięć i ziemia wokół pokryła się wilgotnymi, lekko parującymi plamami. Strażnik spojrzał

do góry i powiedział z aprobatą:

— Bomby gazowe, słusznie! Postanowili wszystkich uśpić i nie ryzykować dalszych ofiar. Ale mówiłem panu, co pana czeka, pułkowniku — ciągnął dalej. — Najpierw trzeba zażegnać niebezpieczną sytuację, do jakiej pan tu doprowadził, i chociaż nasza flota dysponuje dostateczną siłą, zostanie pan prawdopodobnie dopuszczony do pomocy. Ale nawet jak już będzie po wszystkim, pan, Clifton czy tych paru innych, którzy nie są zachwyceni tym, co zrobili, nie zaznacie jeszcze spokoju. Spędzi pan resztę życia próbując nie dopuścić nigdy więcej do powstania podobnej sytuacji. Pańscy dawni przyjaciele znienawidzą pana za to, a Galaktycy, doceniając pańską trudną pracę, będą się jednak czuć w pana obecności nieswojo. Będzie pan sfrustrowany apatią niektórych stworzeń — ciągnął Strażnik, a jego słowa dobiegały teraz jakby z daleka, bo gaz usypiający zaczynał już działać — rozzłoszczony i zniecierpliwiony bezmyślnym okrucieństwem i głupotą innych i nigdy nie pozbędzie się pan poczucia winy za dawne grzechy. Wszystko to razem wziąwszy, będzie pan zgryźliwym, sarkastycznym i niezbyt miłym facetem.

Dermod nie mógł sobie później przypomnieć, czy on pierwszy zapadł w sen, czy psycholog. Pamiętał tylko krótki gwałtowny wstrząs, jaki przeżył na dźwięk ostatnich słów, które do niego dotarły, zanim stracił przytomność.

— Ale cóż, ludzie niczego innego się nie spodziewają po Strażniku…